Rok II. Kraków, dnia 16go Maja 1870. Ner 9 i 10.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcji „**Włościanina**“ plac Szczepański dom Szajrycha.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

Od Redakcji.

Rozsełamy dziś numer podwójny, wynagradzając Czytelnikom brak numeru z 16. Kwietnia.

Mimo uprzejmych wezwań z naszej strony, niemożemy się doczekać prenumeraty, jeszcze od bardzo wielu, bo przeszło od dwustu prenumeratorów.

Niezrażeni niczem, śmiało i wytrwale idziemy naprzód — i wydawania „Włościanina“ niezaniechamy nigdy, bo ufamy w to silnie, że poczciwej pracy Bóg pobłogosławi.

W Imię Boże, rozpoczęliśmy wydawnictwo nasze, służące dla pożytku milionów polskiego ludu, w Imię Boże prowadzimy dalej wydawnictwo „Włościanina“ a pierwej czy później, dojdziemy do tego — że niebędzie wieśniaczej chaty — w którejby się pismo ludowe nieznajdowało. Wtenczas „Włościanin“ — razem z innemi pismami znajdzie się pod każdą strzechą.

Tymczasem pozwalamy sobie mieć tę nadzieję, że Szanowni Czytelnicy nasi dotychchczasowi, sami rozszerzać będą pismo nasze między znajomemi i w sąsiedztwie, oraz, że zaległe odbierzemy przedpłaty.

W tej nadziei, jeszcze raz posełamy „Włościanina“ tym P. P. Prenumeratorom, którzy dotychczas przedpłaty nieuiścili.

☛ **Kto przedpłaty zaległej nienadeszle najdalej do 25. Maja, temu pisma naszego posełać niebędziemy.**

☛ **Kto nam zjedna 5ciu Prenumeratorów i od 5ciu prenumeraturę nadeszle, otrzyma pismo nasze bezpłatnie.**

Portret Kościuszki, jest już ukończony — i zaraz po wysłaniu tego numeru, zaczniemy rozsełać premja.

CIEKAWA HISTORJA O BÓŻNICY
na KAZIMIERZU.

Słyszeliście już nieraz, moi kochani, o Kazimirzu, przedmieściu Krakowa. Wiecie może o tem, że dla tego, tak się nazywa, bo je założył ulubiony król polski Kazimierz Wielki.

Raz zebrała mię ochota, aby lepiej poznać Kazimirz. Poszedłem więc na tak zwaną starą część tego przedmieścia i ciekawie przyglądałem się dziwnie pogarbionym domom i zdawało mi się, że lada chwila runie z nich który na ziemię, bo to i ściany były wygięte i dachy dziurawe, a wszystko trzymało

się tylko, jak to mówią, bożéj chwały. W tem obaczyłem z dala jakiś dom wielki, ale zupełnie od wszystkich odmienny. Zdjęła mię ciekawość, zbliżam się do niego, wlepiłem oczy i patrzę. Okna miał duże, mur gruby a dach wysoki. Kto wie, czy to nie bóżnica? — myślę sobie.

Na szczęście nadchodzi żyd stary.

— A co to być może? — pytam go grzecznie.

— To nasza świątynia czyli jak nazywają bóżnica. Teraz nie można wejść do niéj, bo zamknięta.

— Ale jak widzę to stara budowa — powiedziałem — bo teraz takich nie stawiają.

— O moi mili — odpowie żyd — dawne to już czasy, kiedy ją wystawiono.

A ja zaraz na to:

— A nie wiecie też przypadkiem kto ją wystawił?

— O wiem o tem dobrze, — odpowiedział — bo to jest opisane w starej księdze. Ciekawa to i długa historja a ja nie mam czasu.

Takiem gadaniem rozciekawił mię bardziej, więc tak mówię do niego:

— Ale zróbcie mi tę przyjemność i opowiédźcie łaskawie ową historję, kiedy taka ciekawa a mało komu znana. Czasu wiele nie stracicie a mnie zrobicie wielką przysługę.

— A więc chodźcie ze mną nad Wisłę — powiedział żyd, bo tam będę wyglądał galarów, które mają przypłynąć z węglami, to wam wszystko opowiem.

Poszliśmy tedy nad Wisłę, usiedliśmy sobie na brzegu, a żyd tak mi opowiadał:

— Jest temu już kilka set lat! Inaczej wtedy wyglądał nasz stary Kraków, inaczéj żyli ludzie. Ale było to miasto wielkie i zamożne, to też były w niem szkoły dla młodzieży, a że w kraju szkół było mało, więc też w Krakowie wiele było dzieci. Jednakże było między niemi bardzo wiele biedaków, którzy nie mieli za co chodzić do szkoły a przecież chcieli się uczyć koniecznie. Nazywano ich powszechnie żakami, jak to i dzisiaj małych uczniów nazywają. Nosili do pasa przywiązane garnuszki, z któremi chodzili po zamożnych domach, gdzie otrzymywali jedzenie i różne zapomogi, za co śpiewali pobożne pieśni. Dla niektórych fundowali dobrzy ludzie domy przytułku, gdzie to biedactwo i przebywać i żywić się mogło. Inni szukali różnych sposobów, aby się wyżywić a ludzie tak o nich mówili:

Żak chudzina nic niema: chudy, blady, nagi;
W szkole nic nie ma, jeno łatane biesagi.

A były to mieszki, które z przodu i tyłu wisiały od szyi. Pomimo biedy uczyli się owi żacy bardzo dobrze i nieraz wychodzili na biskupów i innych dostojnych panów, którzy potém umieli ocenić ubóstwo i wspierali hojnie małych żaków. W kościele służyli żacy do posługi, na grobach zmarłych odprawiali nabożeństwa i nucili żałobne pieśni; w wielki tydzień chodzili z chorągwiami i krzyżem po wioskach gdzie za śpiewanie pieśni wielkanocnych dostawali placki i przeróżne mięsiwo; zaś w Boże Narodzenie chodzili ze szopką śpiewając wesołe kolędy, za co ich ludzie gościnnie przyjmowali. Niekiedy z wielkiéj biédy chodzili po wsiach i miasteczkach i prosili o pomoc, śpiéwając dowcipne piosenki; jak n. p.

Ja żaczek maluty,
Pogubiłem buty,
Chodziłem do nieba
Za kawałkiem chleba,
Chciałem się wrócić,
Nie chcieli mię puścić.

Żaka, który dopiéro wstąpił do szkoły nazywano Gregoryjankiem, bo ojcowie nasi zwykle dzieci w dzień św. Grzegorza oddawali do szkoły, a dzień ten żacy obchodzili uroczyście. Ztąd też i dzisiaj dawne pieśni nazywają Gregorjankami, bo je żacy śpiéwali. Polacy lubili żaków, to też i starszy chłop nieraz pod wąsem, poznawszy że nauka człowiekowi jest bardzo potrzebną, szedł do szkoły, a nie mając się z czego utrzymać, dostawał zasiłek od bogaczów, lub żebrał o jałmużnę pod kościołem, figurą lub na ulicy.

— Owoż był wtedy jak i dzisiaj — ciągnął żyd daléj — most na staréj Wiśle między Kazimirzem a Stradomiem zwany dawniéj mostem królewskim. Na tym moście siadywał sobie ubogi żaczek, śpiewał pieśni i prosił przechodzących o wspomogę. Ten mu dał grosz, ów kawałek chleba, a chodził tamtędy codziennie pewien bogaty wdowiec żyd z Kazimirza i za każdym razem dawał mu po groszu. Powtarzało się to dosyć długo, aż razu jednego wracając z Krakowa, dał biednemu żakowi zamiast grosza dukat w złocie. Chłopczyna oglądał go na wszystkie strony, bo jeszcze nigdy nie widział takiego pieniądza, i cieszył się niezmiernie, że mu się dostał do ręki. Ale wieczór, kiedy mówił pacierz przed spaniem, taki go jakiś dziwny ogarnął niepokój, więc myśli sobie:

— Może on się omylił i dał mi taki pieniądz?... Trzeba mu go oddać, bo oszukiwać nie wypada... A gdybym nie oddał, toby znaczyło, że pieniądz ukradłem. Nie, oddam mu go jutro.

Nazajutrz o zwykłym czasie siedział znowu żaczek na królewskim moście; w tem idzie jego stały dobroczyńca. Daje mu grosik, chłopczyna go z wdzięcznością przyjmuje, a wyjmując z kieski złoty pieniądz tak powiada:

— A dla czego mi to pan dobry, dał wczoraj taki pieniądz jakiego jeszcze nigdy nie dostałem? Musiała to być pomyłka, więc go oddaję.

Nie mój chłopcze — odpowie żyd bogaty — to nie była pomyłka. Ja ci umyślnie dałem taki pieniądz, żeby się przekonać, co z nim zrobisz i jakim ty jesteś chłopcem? A że widzę, że jesteś tak poczciwym i rzetelnym, daję ci dziś cztery takie pieniądze, tylko się ucz pilnie, żebyś wyszedł na człowieka.

To mówiąc dał mu cztery dukaty złote i poszedł.

— Ucz się pilnie — myślał sobie chłopiec — o jakaż to piękna rada! Żebyś wyszedł na człowieka — jak piękne życzenie! Trzeba się więc uczyć, żeby te słowa w czyn się zamieniły.

I rzeczywiście biedny żaczek od tej chwili przykładał się do pracy coraz więcéj, uczył się bardzo pilnie i rok po roku z jednéj do drugiéj przechodził klasy. Ukończywszy nauki w Krakowie, uczuł w sobie jeszcze większą skłonność do nauki. Owóż postanowił pojechać do Rzymu, stolicy Ojca świętego. Jakoż zamiar powiódł mu się zupełnie; nauki odbył z wielkim pożytkiem i został wzorowym księdzem. Dowiedział się wnet o nim Ojciec święty, a ceniąc bardzo Polaków zrobił go auditorem czyli swoim sekretarzem, dla tego też mógł zasiadać w sądzie papiezkim i mieć łatwy przystęp do Papieża.

W tym właśnie czasie bogaty wdowiec na Kazimirzu mocno posiwiał, opadł na siłach, począł więc myśleć o rozporządzeniu swoim majątkiem. Po dłuższym jednak namyśle przedsięwziął wystawić bóżnicę na Kazimirzu, aby trwalszą po sobie zostawić pamiątkę. Podług zwyczaju idzie tedy do Krakowa do samego księdza biskupa i prosi o pozwolenie.

— Mój panie — odrzekł biskup — na to żadną miarą zezwolić nie mogę, jedź pan do księdza arcybiskupa do Gniezna, może panu pozwoli. Zmartwiło to bogatego panka, a chcąc koniecznie postawić na swojem jedzie do Gniezna i prosi księdza arcybiskupa przedstawiając różne powody, dla których bóżnicę założyć zamyśla.

— Nie, tego uczynić nie mogę — odpowie arcybiskup — w tym wypadku może panu tylko pomódz szczególna łaska Papieża. Jedź pan do Rzymu! Stały w swojem przedsięwzięciu człowiek jedzie do Rzymu i stara się o posłuchanie u Papieża. Wyjednawszy je sobie, staje przed Papieżem i znowu prosi o pozwolenie. Papież zważywszy całą sprawę, tak się odzywa:

— Kiedy panu nie pozwolił biskup i arcybiskup, którzy lepiéj znają tamtejsze okoliczności, przychylić się nie mogę pańskiéj prośbie. Zresztą zrób pan podanie, do mojéj kancelarii, a w kilku dniach dostaniesz odpowiedź, może da się co uczynić wedle życzenia pańskiego.

Ksiądz auditor był téj rozmowie obecny; z pierwszego wejrzenia poznał swojego dobroczyńcę, ale i słówkiem nie mógł przemówić do niego. Dopiero gdy wyszedł z pokoju, odzywa się do Ojca świętego: Jeżeli kiedy miałem prosić jego Swiętobliwości o jaką łaskę proszę o nią dzisiaj wstawiając się za bogatym żydem, bo się poczuwam do wdzięczności dla niego:

— A to jakim sposobem? — zapyta papież.

— Daruj Jego Świętobliwość, że śmiem powiedzieć, iż ten człowiek jest moim dobrodziejem.

— Zkądże żyd twoim dobrodziejem? — pyta znowu papież.

— Tak jest, czém dzisiaj jestem, jedynie jemu zawdzięczyć mogę. Byłem ubogim żakiem w Krakowie, żebrałem o jałmużnę na moście królewskim, on mię wspomagał, a nadto kiedy mię obdarzył kilkoma dukatami w złocie, objawił życzenie, abym się uczył i wyszedł na człowieka. Te słowa tak mi utkwiły w myśli, że pracowałem ustawicznie i dziś doznaję niezrównanego szczęścia i zaszczytu, że mogę być obecnym przy jego Świątobliwości.

— Za czyn tak piękny — powiada Papież — daję moje zezwolnnie, do wzniesienia bóżnicy na Kazimirzu, aby była pamiątką, że dobrodziejstwo było jéj fundamentem. Każ wyszukać żyda i oznajmić mu słowa moje.

Ksiądz sekretarz postąpił natychmiast podług woli papieża, kazał przywołać swego dobrodzieja z młodości, a gdy stanął przed nim, tak powiada do niego:

— Oto pozwolenie na wystawienie bóżnicy na Kazimirzu. Miło mi przysłużyć się panu, a czy pan mię poznałeś?...

— Nie, nie przypominam sobie zupełnie...

— Jestem z Polski.

— Nie widzieliśmy się nigdy.

— Byłem w Krakowie.

— A zkądże bym mógł znać księdza dobrodzieja?...

— I pan mię nie poznaje?... Wszakże Pan jesteś moim dobrodziejem. Byłem żakiem kilkanaście lat temu, wspomagałeś mię pan często, a dając raz dukaty, kazał mi się pan uczyć i wyjść na człowieka... Oto jestem dziś księdzem, a gdyby nie Pan, kto wie co by się było ze mną stało?...

Zmieszał się żyd stary, przypomniał sobie żaka z królewskiego mostu, łza mu zabłysła w oczach, a przyjmując z rąk czcigodnego kapłana piśmienne pozwolenie na wybudowanie bóżnicy, te wyrzekł słowa:

— Teraz czuję słodycz z dobrodziejstwa, które mimowolnie wykonywałem i poznaję co jest wdzięczności cnota!

Wyjechał z Rzymu pełen uszczęśliwienia, a niebawem na Kazimirzu stanęła bóżnica, o któréj początku tak piękne mamy dziś wspomnienie.

— Prawda że piękne wspomnienie — dodałem— bo miło dziś wspomnieć dobrodzieja, który nie żałował zbytniego grosza, a czynem swym dobrym i życzliwem słowem pomógł żaczkowi, który pomimo biedy nie zwichnął z prawéj drogi, ale za pracę i dobroć, zaszczytnego dostąpił stanowiska. Bogaty starzec doczekał się też od niego pięknéj wdzięczności. Więc nauka ztąd dla bogaczów, żeby wspomagali potrzebnych, bo nieraz małemi datkami piękne mogą wykonywać czyny, a druga dla młodych biedaków, żeby się stale trzymali pracy i poczciwości, a znajdą sposobność, iż zdołają wyjść na pożytecznych ludzi.

Podziękowawszy żydowi za opowiadanie, chodziłem po nad Wisłą i ciągle myślałem o tem ciekawem zdarzeniu.

Józef z Bochni.

PIEŚŃ

o Świętym Stanisławie Biskupie Męczenniku i Patronie Polski.

Swięty przed Panem o! Stanisławie
U ludu twego we czci i sławie,
Ty który teraz cieszysz się w niebie,
Módl się za nami błagamy Ciebie!

Dzieciątkiem Bogu ofiarowany,
I służbie Jego cały oddany,
Więc polskie nasze błogosław dziatki,
Ku pożytkowi ojczyzny matki.



Kapłanie święty, kapłanów wzorze,
Cichy, łagodny, zawsze w pokorze
Spraw niechaj miłość kwitnie wśród ludzi
A pycha, zawiść, zgody nie brudzi.

Biskupie święty, coś trzodę bronił
I od złéj paszy roztropnie chronił,

Racz wyjednywać dobrych pasterzy
W walce z błędami prowadź szermierzy.

Coś wspierał wdowy, karmił ubogie
Wyproś urodzaj i lata błogie,
Niech nas głód, wojna, mór nie zabija
Niech pomsta Boga Polskę omija.

Coś Piotra wskrzesił dla Boskiéj chwały,
Spraw by pokutne łzy się polały
I niech powstaniem z nędz naszych toni,
A od upadku łaska nas chroni.

Ty co publicznie króla karciłeś,
I co występki wszelkie gromiłeś,
Spraw niech zwierzchniki będą cnotliwe
Mądre, roztropne i sprawiedliwe.

Coś żywot pędził w nieustannym boju,
I w sprawie Bożéj krew wylał swoją
Spraw niech dla Boga cierpienia znosim
Krzyż ukochany, przez krzyż się wznosim.

Ojcze ojczyzny, o Stanisławie!
U ludu twego we czci i sławie
Spraw by wzrastała w téj ziemi wiara
Wróciła przodków pobożność stara.

CIEKAWA HISTORJA O CZŁOWIEKU.

Marcin Korek nie miał zamożnych rodziców, ale przecie chodził za młodu do szkoły, bo ojciec jego, choć sam nie umiał czytać, tak często mawiał:

— Mój Boże! jak też to przykro człowiekowi, gdy widzi, że drugi czyta, i dowiaduje się o różnych rzeczach, a tu człowiek uczciwszy uszy, jak ona tabaka w rogu...

Niechże więc syn mój chodzi na naukę i uczy się pożytecznych wiadomości, a kiedyś będzie mi błogosławił.

I nie omylił się stary Korek, bo Marcin, syn jego ma teraz szacunek w gminie, umie czytać i pisać, to też nieraz modli się za dobrego rodzica, że się do tego przyczynił. Ludzie też chodzą do niego po radę, a co święto i niedziela schodzą się do niego gospodarze i gwarzą z nim o tem i owem, a on im tłomaczy i ciekawe rzeczy rozpowiada.

Niedawno temu było u niego kilku gospodarzy i zgadali się o człowieku.

A Marcin tak im opowiadał:

— Prawda to jest pewna, że człowiek przez obcowanie z ludźmi wiele skorzystać może, bo i poznać nie jedno, ale o wieleż więcej skorzysta, gdy ma przytem jaką taką naukę, i na książce czytać umie.

— A cóżby się też stało z człowiekiem — wtrącił Szymon Pieróg — gdyby go ludzie w dzieciństwie opuścili.

— Nic dziwnego — odpowie Marcin — żeby umarł alboby zdziczał zupełnie.

— Jakto zdziczałby? — ozwało się kilka głosów. — Alboż to człowiek może zdziczeć?

— Oj może, może! — odrzekł Marcin. — Jeżeli mi wierzycie, to was o tem przekonam, moi mili!

Kazał tedy siedzącym dobrze uważać i tak mówił:

— Człowiek jest wprawdzie najmądrzejszem i najzręczniejszem stworzeniem Boskiem, w młodości jednak przewyższają go zwierzęta, bo one nie są tak niedołężne, jak mały człowiek. Zwierzę czyni wszystko z jakiegoś wewnętrznego popędu czyli instynktu, chociaż tego nie potrzebuje się uczyć od swoich starszych towarzyszów, ani widzieć tego, co oni robią. Co dzień i co rok robi jedno i to samo i nigdy nie zmienia czynności swoich. Człowiek może robić kiedy chce i co chce i może wszystko ujarzmić, co się znajduje w naturze. Ale i czy może człowiek to robić zaraz po urodzeniu? O nie! Człowiek taki jest niedołężny; krzyczy i płacze o jedzenie, którego nie zna, uśmiecha się do ludzi, a nie wie kto jest jego ojcem lub matką. Człowiek nie ma takiego popędu jak zwierzę, nie może siąść zaraz po urodzeniu, chodzić i wyszukiwać sobie potrzebnego jedzenia. Zamiast popędu dał mu Bóg rozumną duszę, którą gdy wykształci, staje się panem wszystkiego stworzenia i może rządzić najsroższemi zwierzętami. Ale mówimy nieraz o człowieku, że to: prawdziwe bydlę. A dla czego? Bo taki człowiek nie ma należycie wykształconej duszy i w czynnościach swoich, nie wiele różni się od zwierzęcia.

— A za pozwoleniem! — przemówił Stanisław Wątroba — przecież mówiliście nam Marcinie o dzikich ludziach, co to żyją w Azji, Afryce, Ameryce i Australii, ci co nie wiedzą o Bogu, a jak dzikie zwierzęta żyją w lasach i norach pod ziemią i nieraz ludzi zabijają i ludzkie zjadają ciało? — To prawda — odpowie Marcin — że tych ludzi nazywamy dzikiemi, bo nie mają wykształcenia, ale nie chodzą tak jak zwierzęta na czterech nogach, nie jedzą trawy i korzeni i nie prowadzą prawdziwie zwierzęcego życia. Opiekują się przecież dziećmi, mają swoje szałasy, żyją w mniejszem lub większem towarzystwie, mają swoją mowę i nie zawsze jedno i to samo robią. Tem samem już są wyższemi od zwierząt. Jednakże zdarzyły się wypadki, że tu i owdzie zgubiono dziecię i dopiero po kilku latach znaleziono je w lesie pomiędzy zwierzętami. Taki więc człowiek był prawdziwie dzikim, bo chodził jak zwierzę na rękach i nogach, spinał się po drzewach, jadł trawę, korzenie i to robił, co i zwierzęta. Nie umiał mówić, i nie wiedział że ma rozum, toć też było to istne zwierzę.

— A nie umiecie też Marcinie — zagadał Walenty Grubek — opowiedzieć jakiego zdarzenia o dzikim człowieku?

— A gdzieżbym zaś nie wiedział? — odpowie Marcin — wszakże czytałem o kilku takich wypadkach, to wam je opowiem.

— O opowiedzcie, kochany Marcinie! — zawołali wszyscy. Marcin tedy tak opowiadał:

— W roku 1544 schwytano w Hesii dzikiego chłopca i pokazywano go na dworze landgrafa Henryka. Kiedy miał trzy lata, porwały go wilki i zaniosły do lasu. Dawały mu najlepsze kawałki mięsa i uczyły go chodzić na rękach i nogach. Potem nauczyły go biegać szybko i najzręczniej skakać. Zrobiły dlań wygodną norę i wysłały ją starannie mchem i liśćmi. Aby mu zaś nie dokuczało zimno, legały przy nim i ogrzewały go swojem futrem, ten sposób życia tak mu się podobał, że wolał być pomiędzy wilkami niż pomiędzy ludźmi, jak to później sam zeznał. Nie można go było nauczyć chodzić prosto, owoż używano w tym celu drążków, które mu do około przywięzywano.

Na Litwie znaleziono 1661 roku dziewięcioletniego chłopca pomiędzy niedźwiedziami. Mówią że gdy

go pojmać chciano, dzielnie bronił się paznogciami i zębami. Drugi dziki chłopiec, ktory był z nim razem, umknął myśliwym. Schwytany nie dał się poskromić i przyzwyczaić do noszenia sukien i przyjmowania ludzkiego pożywienia.

Innego chłopca, który miał już około lat dwudziestu, znaleziono na Litwie 1694 roku, również pomiędzy niedźwiedziami. Był na ciele włosem zarosły i chodził na rękach i nogach. Nie okazywał najmniejszego znaku rozumu; nie umiał mówić, a nawet nie wydawał ludzkiego głosu. Z trudnością wielką dał się oswoić. Stawiano go przy murze, aby się nauczył stać prosto. Później jadł ludzkie potrawy i nauczył się, lubo chrypliwym głosem, wymawiać słowa ludzkie. O pobycie swoim między zwierzętami nie mógł sobie przypomnieć.

W Irlandii znaleziono dzikiego chłopca, który jadł trawę i siano, beczał jak koza i skakał jak zwierzę na rękach i nogach i z wielką trudnością dał się oswoić.

W 1717 roku schwycono w Holandii dziewiętnastoletnią dziewczynę. Miała szesnaście miesięcy, gdy ją rodzicom wykradziono. Skóra jéj była ciemno brunatna, twarda i szorstka, włosy długie i grube. Nie umiała mówić, tylko stękała i żywiła się liśćmi z drzewa i ziołami. Chodziła wszakże jak człowiek i miała na sobie własnego wyrobu zapaskę ze słomy. Ludzi lękała się bardzo; poźniej atoli lubiła bardzo towarzystwo ludzi, pojmowała znaki, które jéj robiono, dziękowała tym, którzy ją pozdrawiali; nauczyła się cokolwiek mówić i prząść dosyć dobrze.

— Ze wszystkiego jednak — mówił daléj Marcin — najciekawsza jest historja o dzikiej dziewczynie, którą 1713 roku schwycono we Francii. Miała lat dziesięć. Pewien szlachcic, który w Szampanii (zkąd to pochodzi szampańskie wino) był na polowaniu, obaczył niespodziewanie dwa czarne przedmioty na wodzie a sądząc, że to wodne kurki, natychmiast do nich wystrzelił. Mniemane kurki, zanurzyły się w wodę i wypłynęły niebawem na brzeg daleko od tego miejsca, bez najmniejszego śladu poranienia. Były to dziewczęta wielkości dziesięcioletnich dzieci. Zyły razem, a nikt nie wiedział zkąd się tam wzięły? Wskakiwały do rzek i jezior, aby schwytać ryby, które były ich najlepszemi przysmakami. Ponieważ im wystrzał nic nie szkodził, siadły sobie na brzegu, a miały wiele ryb przy sobie. Omywały je po jednéj i połykały z największym apetytem, były bowiem przyzwyczajone nie żuć swojego pożywienia, ale przedniemi zębami gryść na kawałki i połykać je nieprzeżute.

Gdy zjadły cały swój zapas, poszły dalej. Zaledwie jednak mały kawałeczek oddaliły się od brzegu, znalazła jedna z nich wianuszek z kwiatów, który zapewne ktoś zgubił. Zaczęła skakać i krzyczeć dzikim głosem radości. Z trwogi, aby jéj towarzyszka nie zabrała owego wianuszka, przykryła go ręką. Jednakże towarzyszka obaczywszy go, uderzyła właścicielkę wianuszka tak silnie kijem przez rękę, że nią zupełnie ruszyć nie mogła. Lecz miała tyle jeszcze siły w drugiéj ręce, że tak silnie uderzyła swoją towarzyszkę w czoło, iż się z przeraźliwym krzykiem przewróciła na ziemię. Zwyciężycielka zawdziała sobie wianuszek na szyję i chciała uchodzić. W tem spojrzała na leżącą towarzyszkę i obaczyła, że jej krew ciecze obficie z zadanej rany. Poszukała natychmiast kilka żab, zdarła z jednéj skórę, przyłożyła ją na ranę, aby krew zatamować, potem obłożywszy całe czoło korą, którą paznogciami odłupała z drzewa — pobiegła do wsi Songi. Poraniona udała się zaś do rzeki. W jakim celu pobiegła zwyciężycielka do wsi o zmroku, trudno odgadnąć. Była ona boso; miała na sobie różne strzępy i skórki zwierzęce, a włosy schowała do czapki zrobionéj z dyni. Ręce i nogi miała tak czarne jak murzynka. W jednéj ręce trzymała pałkę.

Gdy ludzie we wsi obaczyli dziką dziewczynę, rozbiegali się na wszystkie strony i bez ustanku wołali na całe gardło:

— Djabeł! uciekajcie! djabeł przyszedł do wsi! uciekajcie! djabeł!

Przestrach powstał ogromny, pozamykano drzwi i okna. Jeden tylko gospodarz, myśląc, że się djabeł psów boi, puścił przeciw dziewczynie swojego brytana, uzbrojonego w kolczaty kaganiec.

Spostrzegła go dziewczyna zawrzała strasznym gniewem i czekała rychło nadbiegnie. Aliści zaledwie nadbiegł, jednem uderzeniem pałki położyła go na miejscu. I pełna radości skakała długo około swojéj ofiary. Potem chodziła od chaty do chaty chcąc się dobyć. Ale że to nie była tak łatwa sprawa, pobiegła w pole i tam na drzewie obrała sobie nocleg.

O świcie powstała we wsi narada jakimby sposobem schwycić mniemanego djabła, czyli jak niektórzy mówili dzikiego człowieka. Uradzono, aby pod drzewem postawić wiadro z wodą, albowiem ma może pragnienie, to zszedłszy na dół da się złapać. Jakoż tak uczyniono, a dziewczyna przebudziwszy się rano, spoglądając na wszystkie strony i nie widząc nikogo, zeszła spiesznie, piła wodę, potem nie dowierzając sobie wyszła znowu na drzewo.

Ponieważ się ten sposób nie udał, wysłano pasterkę z dzieckiem, ażeby się ustawicznie koło drzewa przechodziła. Dano jéj do rąk kilka ryb i marchewek, aby dzikiej pokazywała. Niebawem skoczyła z drzewa dzika dziewczyna, a biegłszy za pasterką, zbliżającą się ciągle do tych ludzi, którzy na zdobycz czatowali, niespodziewanie wpadła w ich ręce.

Przyprowadzono ją do wójta. Gdy taż obaczyła kilka sztuk drobiu zabitego, z niewypowiedzianą radością chwyciła jednę sztukę i rwiąc na kawałki jadła z wielkim apetytem. Podano jéj królika. Obdarła zeń skórkę i jadła go z chciwością. Po przekonaniu się że to nie djabeł, ale zdziczały człowiek oddano dziewczynę pasterzowi, aby ją ułaskawił Ale wiele to pracy i bicia kosztowało, zanim dopro wadził do tego, że ją wolno mógł puszczać w chacie Miała grube, silne palce, to też nie wiele potrzebo wała trudu do wyrobienia dziur w murze lub dachu po którym biegała tak zwinnie jak wróbel. Przeciskała się przez tak małe otwory, że kto tego nie widział, w żaden sposób wierzyć nie chciał.

Uciekała często, a przecież po kilku latach pobytu u pasterza tak jeszcze umiała biegać szybko, że jéj najzręczniejszy człowiek dogonić nie był w stanie. Na drzewa wdrapywała się również tak zwinnie jak wiewiórka.

Oddano ją potem do klasztoru. Siedziała tu znowu lat kilka i nie odbywała prawie żadnego ruchu. A przecież i wtedy tak biegała szybko, że nieraz w biegu chwytała zające i żywe przynosiła tym, którzy się dziwili jéj zwinności.

Starano się koniecznie, aby ją ułaskawić i odzwyczaić od jedzenia surowego mięsa, liści, gałązek i korzonków, a przyzwyczaić ją do obcowania z ludźmi, to jednak udawało się bardzo pomału. Ile razy obaczyła obcego człowieka, krzyczała przeraźliwie, a gdy

przyszła do stawu, wskakiwała zaraz w odzieży, pływała, zanurzała się i zjadała żaby. Odchodząc, zabierała ze sobą kilka żab w fartuszku.

— Ha, ha, ha to sobie była pocieszna dziewczyna! — zawołali słuchacze.

— A prawda, że pocieszna — przemówił Marcin i tak daléj rzecz prowadził:

— Raz była na obiedzie u pewnego znakomitego pana. Ponieważ lokaj długo potrawy nie przynosił, wstała od stołu, pobiegła prędko do stawu i nieposiadając się z radości przyniosła pełny fartuszek żywych żab i dzieliła je między gości. Wielu było takich, którzy nie chcieli brać do ręki; tym kładła na talerzu. Dopiero to wtenczas było śmiechu i krzyku! Żaby skakały po stole, stołkach i kanapach, a goście rozbiegali się z pokoju.

— A to dopiero dziwa wyrabiała! — zaśmiał się Szymon Piróg.

— A widzicie — rzekł Marcin — co człowiek bez rozumu nie wydziwia? A czegóż to u nas nie dokażą nieraz głupcy, chociaż nie są dzicy jak ona? Nie jedno śmiechu warte, co robią. Ależ słuchajcie daléj! Przekonawszy się dzika dziewczyna, że goście gardzą jéj przysmaczkami, pochwytała wszystkie żaby, podusiła i powrzucała na talerze i półmiski. Rozumie się obiadu dotąd nie jedzono, dopóki nie oddalono tak wesołéj biesiadnicy.

Po pewnym czasie dano jéj na imię Blanka. Ale i teraz lubiła joszcze krew i surowe mięso. Gdzie tylko dopadła gołębia lub koguta, odgryzła mu głowę, wyssała krew, a mięso połykała po kawałku. Była kilka razy niebezpiecznię chorą i cierpiała jakiś wielki niepokój. Służąca jéj pytała się często, jak będzie żyła w przyszłości? Blanka pełna ufności odpowiadała, że w Bogu.

— Czemużby mię Bóg szukał — mówiła — między dzikiemi zwierzętami i czynił chrześcijanką? Czy dla tego, żeby o mnie zapomniał i morzył głodem? To jest niepodobną rzeczą. Oprócz Niego nie znam nikogo! On jest moim ojcem. On się o mnie starać będzie!

W roku 1745 umarła biedna Blanka w bardzo opłakanym stanie. I na tem koniec o dzikiéj dziewczynie, Tu zaczęli słuchaczero zmawiać o owych dzikich ludziach i pytali Marcina czemu dzisiaj nie ma podobnych wypadków? A Marcin tak mówił na to:

— Dzisiaj nie tak łatwo coś podobnego stać by się mogło, bo mniéj lasów i grubego zwierza; ludzie dobrze znają niemal każdy kątek ziemi, to też łatwiejby znaleść mogli utracone dziecię. Ale i dzisiaj nawet może marnieć dziecię w duchu między ludźmi, jeżeli nie dbają o jego wykształcenie, kiedy największa ku temu jest sposobność.

Pamiętajcie — dodał w końcu, — że jeżeli człowiek zaniedbuje wykształcenie swojej duszy, może wiele narobić złego, żyje jak nieprzymierzając owe zwierzę, albo jak dziki człowiek, to też nieraz mówimy gdy znajdziemy człowieka, robiącego takie rzeczy, które z pojęciem naszem i dobrem wychowaniem się nie zgadzają: to dziki człowiek.

Aby się tedy uszlachetnić i wykształcać swoją duszę, nie żałujmy czasu na chodzenie do szkoły, za czytanie książek, bo przez to zabijamy w sobie dzikie skłonności i stajemy się pożyteczniejszemi Bogu i ludziom.

Długo jeszcze rozmyślali ludzie nad słowami Marcina, potem podziękowali mu za nauczające opowiadanie i rozeszli się do domów. Ja zaś podaję wam to do wiadomości, ażebyście wiedzieli coby się z człowiekiem stało, bez opieki ludzi i wykształcenia duszy!

Józef z Bochni.

NIEPRZYJACIEL KRAJU.

Dalej, hej dalej, bracia do obrony!
Tak niech wołają i wioski i miasta,
Bo nieprzyjaciel wszystkie zajął strony;
Potęga jego coraz bardziéj wzrasta.
Kto nosi imię kraju przyjaciela,
Niechże pomocy swej chętnie udziela!

Wróg to ogromny, silny i zdradliwy,
Pokona silnych, gdy mu pragną służyć;
Na łzy, niedolę zupełnie nie tkliwy —
Podstępu pragnie do celów swych użyć.
A więc tém raźniéj ramię do ramienia
I pędzić wroga, nie dawać mu mienia!

Żyje w przyjaźni z podłością, sromotą;
Pastwiąc się nie ma nad nikim litości,
Napawa ludzi trucizną, zgryzotą,
Uboży możnych, gdzie tylko zagości.
Nie szczędzi wieku, o wiek mu nie chodzi,
Bo na zniszczenie, upadek on godzi.

A kędy wróg ten zdradliwy osiędzie,
Nie dba na życie i nie dba na zdrowie;
Płacz i zmartwienie z pewnością tam będzie —
Bo jemu chodzi o straszne pustkowie.
Gnębi niewiasty i wdzięk im odbiera,
I pobożności ducha w nich zaciéra!

I kraj się niszczy — i puściej w kościele;
Przekleństwo szersze jedna sobie koła,
Wierność i wiara znaczą już nie wiele —
Wszędzie złe samo, same grzechy zgoła...
O pokój, zgodę próżno pytasz w chacie,
A wróg się cieszy po onych utracie.

I słusznie mówią o tym strasznym wrogu,
Że z diabłem samym zawiera przymierze,
Dla tego zawsze urąga on Bogu —
I dusze niegdyś dobrych, w piekło bierze.
Gdzie bowiem wróg ten znajdzie pomieszczenie,
Tam pewnie cnoty, dobrego skończenie.

Może spytacie — gdzie wróg ten niszczący?
Szukajcie go więc nie daleko, blizko;
Gdzie tylko słońce rzuca promień lśniący —
Tam niezawodnie wyprawia igrzysko;
W miastach i wioskach; w kamienicy, chacie,
Znany on dobrze, tam go więc poznacie!

Twierdz mu nie braknie, oj nie braknie wcale,
Wszerz i wzdłuż w koło mnóstwo się ich wznosi,

Znak jego na nich błyszczy okazale —
Bo tam gościna, dokąd chętnych prosi.
I doń też wielu ciśnie się zbłąkanych,
Nie szczędząc groszy, choć w trudzie zebranych.

Dla tego, bracia, nadeszła już pora,
Zniszczenie widzim między ludźmi w kraju;
Pędźmy co żywo strasznego upiora,
Który przeszkadza do szczęścia i raju!
A więc do boju, i pędźmy go z chatek,
A pomyślności będzie to zadatek!

I choćby użył piekielnéj swéj broni,
Boga na pomoc! daléj tylko z Bogiem!
On tarczą swoją przed nim nas osłoni,
A będąc z nami — rozstaniem się z wrogiem.
Daléj więc bracia! upadnie ohyda,
Zabłyśnie szczęście, znikną łzy i biéda!

I któż tym wrogiem, krajn niszczycielem?
Takie to zewsząd leci zapytanie —
Imię wam znane, lecz powiem z weselem,
Powiem na całe gardło, co sił stanie:
Wrogiem, rabusiem, gnębicielem ludzi —
Jest *wódka*, co w nas taką zemstę budzi!

Józef z Bochni.

O GÓRALACH NASZYCH W OGÓLNOŚCI.

W poprzednim numerze „Włościanina“ opowiadaliśmy wam kochani czytelnicy, o góralach zamieszkujących Tatry i dolinę Podhalańską, od czego też nazywaliśmy ich Podhalanami. Pozostali nam jeszcze ruscy Górale czyli Bojki i Huculy. Lecz może nie jednego uderzył napis: *O góralach naszych w ogólności* — i dla tego pomyślał sobie: A jakże to być może, żeby ruscy Górale i Huculy byli naszymi góralami, kiedy odmiennym mówią językiem? Nam się zaś zdaje, żeśmy dobrze powiedzieli, bo tak Podhalanie, jak i ruscy Górale i Huculy zamieszkują nasze ojczyste góry, które dzielą nasz kraj od Węgier, a że odmiennym mówią językiem, to różnica ta nie jest zbyt wielką. Zresztą rozmówić się z nimi możemy dosyć łatwo, boć to przecie nasi krewniacy, albowiem tak my Polacy, jak Rusini, Czesi, Szlązacy z jednego pochodzimy plemienia Sławiańskiego.

Ktoby naraz widział górala naszego i ruskiego, dostrzegłby między nimi wielkie podobieństwo. Górale ruscy są dzielnym i pięknym ludem. Wzrost mają smukły i wysoki. Są mocno zahartowani; z wielką więc łatwością znoszą wszelkie niewygody i trudy; odznaczają się niezwykłą siłą i niesłychaną zręcznością ciała. Są też z nich dobrzy myśliwi, nadzwyczajnie zręczni przewodnicy — a siekierką swoją potrafią z wszelką pewnością odciąć oznaczoną gałązkę, choćby i na najwyższym szczycie sosny.

Sposób ich życia prawie taki sam jak i u Podhalan. Tak samo są ubodzy, a mimo tego swobodni i weseli, co najwięcéj sprawia czyste i świéże powietrze górskie. Sieją owies i sadzą ziemniaki. Z mleka robią polewki, séry i bryndzę. Największym ich majątkiem są owce. Przy nich też jak i Podhalanie spędzają całe lato w górach, co dla nich najmilszém jest zajęciem.

Górale ruscy noszą czarne, nizkie kapelusze z szerokiemi, w górę wygiętemi kresami; włosy mają po największéj części czarne, długie; koszule noszą krótkie z rozmaitemi wyszywaniami na ramionach, i zapinają je wielką, okrągłą, najczęściéj mosiężną spinką i przepasują się szérokim, skórzanym pasem, ozdobionym mnóstwem świécących gwoździków, w przeróżne figury powbijanych. Spodnie ich z grubego sukna, są opięte; na nogach skórzane kierpce przymocowane do nóg wełnianemi sznurami. Na siebie zarzucają gunię i przewieszają skórzaną, włosistą torbę. Za pas wtykają ostry toporek. Kobiéty mają ozdobnie wyszywane koszule; rożnobarwne, wełniane spodnice, lekkie buty, a około głowy i twarzy owijają białe rańtuchy. Szyję zdobią prawdziwemi lub szklannemi koralami, palce zaś u rąk mosiężnemi pierścieniami.



Daléj ku wschodowi mieszkają Huculy. Okolice, w których przebywają, dziką swą pięknością zajmują jedno z pierwszych miejsc w kraju naszym. Do piękniejszych miejsc huculskiéj dziedziny należy niezaprzeczenie wioska Dora, któréj rozległe niwy obmywają srebrzyste fale rwącego Prutu. Po za tą wioską ciągną się dosyć wyniosłe, skaliste brzegi, gdzie z znacznéj wysokości z wielkim hukiem spada woda tworząc zachwycający wodospad z głębokim stawem, którego przeciwległe brzegi łączy most 30 sążni po nad wodą wzniesiony. Dawniejszemi czasy okolica ta ulubioną była siedzibą sławnego zbójnika Dobosza, o którym dotąd lud bardzo wiele ciekawych rzeczy opowiada, lub w dumach swoich pamięć jego wyśpiewuje.

Lud w tak górzystéj mieszkający okolicy, wśród niezmierzonych przepaści i parowów, niezrównaną odznacza się śmiałością i zręcznością; nie dziw więc,

że wydawał coraz nowych opryszków (zbójników,) którzy tak wielkim byli dawniéj postrachem w górach karpackich, że szlachta zbrojnych utrzymywać musiała hajduków, by się ustrzedz przed łatwém niebezpieczeństwem.

Skoro tylko stopniały śniegi, a połoniny (łąki górskie) zieloną umaiły się trawą, opryszki z zaostrzonym toporkiem i niewielką strzelbą na ramieniu, z żywnością w torbie, wychodzili na zdobycz przeciw Ormianom, którzy z Węgier powracali z towarami. Na czele téj strasznéj drużyny stawał śmiały i odważny Głonka, który tak olbrzymią posiadał siłę, że łamał żelazne szyny i podkowy, rwał jak nici grube powrozy; z korzeniem wyrywał młode drzewa i jedném pchnięciem wyłamywał drzwi i kraty. Był to jednak ostatni wódz opryszków huculskich w Karpacach. Dzisiaj nie słychać już nic o opryszkach wszelako i obecnie odznaczają się Huculy nadzwyczajną odwagą, przytomnością umysłu, zręcznością i niezrównaną siłą, i podobnie jak Górale tatrzańscy, są oni czerstwi i rzeźwi. Nos mają orli, duży, oczy czarne, takież brwi i włosy, spływające w krętych pierścieniach, zazwyczaj aż na ramiona.

Jakkolwiek usposobieniem zbliża się Hucuł do Podhalana, daleko jednak dorodniejszéj i silniejszéj jest on budowy ciała, a piękniéj jeszcze wygląda w swoim swobodnym, do sposobu życia zastósowanym ubiorze. Nosi na głowie czarny, z dużemi kresami, kształtem do naszego plecionego podobny kapelusz, najrozmaiciéj czerwonemi wstążkami i pawiemi piórami ozdobiony, który zimową porą zamienia na kończastą, baranią czapkę. Koszulę ma różnorakiemi wyszywaną haftami; spina ją u góry kruszcową spinką, dołem przepasuje szerokim, skórzanym pasem, nabijanym różnokształtnemi guziczkami. Spodnie jego nie są jak u Podhalana kroju węgierskiego, lecz długie, szérokie, z sukna niebieskiego zrobione; natomiast podobne jak Podhalan nosi skórzane chodaki, w święto buty. Do tego trzeba dodać krótką, z grubego czarnego, lub czerwono-brunatnego sukna sporządzoną gunię czyli sierak, który Hucuł zwykle zarzuca na plecy; torbę czyli dziobeńkę z różnokolorowéj utkaną wełny i toporek czyli siekiérkę na mocnéj lasce umocowaną — a będzie prawdziwy obraz Huculа.

Strój Hucułek zupełnie podobny do stroju naszych góralek, z tym wszakże wyjątkiem, że nie one odziéwają się jak u nas płachtami czyli rańtuchami, lecz obwięzują głowy w białe upięcia, spadające na ramiona; spodnice noszą wełniane, różnobarwne; na nich fartuch także kolorowy. Koszule mają włóczką czerwoną lub takiemiż nićmi na ramionach wyszyte; na szyi mnóstwo paciorków, u których na ostatnim sznurku zawieszają żółty okrągły medalik.



Chaty u Huculów nie mają krokiew jak nasze, ale nizkie, płaskie dachy. Czystość w nich nadzwyczajna, bo Huculy lubią bardzo ochędóstwo.

Żywią się ziemniakami, baraniną, chlebem z mąki kukurudzanéj, z któréj wyrabiają także prażuchy, zwane u nich mamałygą. Jedzą również gotowaną i pieczoną kukurydzę. Lubią omastę wieprzową, wódkę lub śliwowicę; nie cierpią chleba żytniego ani pszennego, jak i mięsa wołowego. Hucuł w obczy-

żnie, gdy zachoruje, wyzdrowieje, gdy dostanie pieczonego barana i mamałygi.

Prowadzą jak Górale życie pasterskie. Przemysłem i ciężką pracą wynagradzają to, czego im nie daje nieplenna ziemia.

Prowadzą znaczny handel bryndzą. Ładują ją w beczułki, które zawieszają na koniach, zwanych huculkami, gdy jadą na targ do miasta. Są to małe, krępe, ale mocne i zwinne konie. Wyrabiają także Huculy bardzo zgrabne naczynia drewniane. Są religijni, nie lubiący krzywdy drugiego, a przytem przywiązani bez granic do swéj górskiéj ziemi. Oddani do wojska, tęsknią bez ustanku, to też nieraz były wypadki, że Hucuł umarł z tęsknoty za swoją ziemią. Ulubionym ich tańcem jest tak zwana Kołomyjka.

Wielki mają wzgląd dla starych i chorych osób. Często w ich strony przyjeżdżają chorzy na żentycę. Gdyby który z nich zamieszkał w pobliżu, gdzie grywa muzyka, przez wzgląd na niego, nie poddają się wesołości.

Huculy wyrabiają sobie sami dubeltówki, które ich nigdy nie zawiodą. Można się o tem przekonać



Zrób węglem znaczek na desce, każ strzelić Huculowi, a pewnie w to samo ugodzi miejsce. W rzucaniu toporkiem także bardzo jest pewnym. O trzydzieści kroków rzucony toporek, wbije się w oznaczone miejsce. Kto nie ma siły, nie jest ceniony.

Huculy z każdym obcują, lecz z nim nie wejdą w zażyłość, dopóki się nie przebierze w ich suknie. Ze swych siedzib rzadko kiedy odchodzą i nie odstąpiliby ich za nic w świecie.

Hucułki są dobremi matkami i bardzo przywiązanemi żonami. Lubią niezmiernie pracę. Ani w zimie, ani w lecie — nigdy nie próżnują. Przędą, robią dywany, koszą łąki, młócą zboże, pasą bydło i wzorowy porządek utrzymują w chatach. Śpiéw Huculów jest smutny, lecz rzewny i przenikający. Prowadzą życie umiarkowane; nie lubią przekleństw i kłotni, dla tego też dochodzą późnego wieku.

Józef z Bochni.

KALENDARZ.

Maj ma dni 31.

	Dnie	Święta Rzymskie
		Ewangelia u Jana św. w rozdziale 16. O skutku prośby w Imię Jezusa.
17	Wtorek	Paschalisa wyznawcy.
18	Środa	Feliksa kap. i Eryka kr.
19	Czwartek	Piotra Celest. i Iwona.
20	Piątek	Bernarda Sen.
21	Sobota	Heleny królownej.
22	Niedziela	**5. po Wielk.** Julii panny.
23	Poniedziałek	*Dni Krzyż.* Dezyderyusza.
24	Wtorek	*Dni Krzyż.* Joanny wdowy.
25	Środa	*Dni Krzyż.* Urbana papieża.
26	Czwartek	**Wniebowstąpienie Pańskie.**
27	Piątek	Joanny p. m. Maryi Magd.
28	Sobota	Wilhelma książęcia.
		Ewangelia u Jana św. w rozdziale 16. O przyjściu Pocieszyciela Ducha świętego.
29	Niedziela	**6. po Wielk.** Maxyma.
30	Poniedziałek	Feliksa papieża.
31	Wtorek	Petroneli Panny.

WSCHÓD I ZACHÓD SŁOŃCA.

Wsch. sł. d. 5	g. 4	m. 32 Zach. g. 7	m. 22	Dł. d. g. 14	m. 50
10	4	24	7	29	15	5
15	4	17	7	37	15	20
20	4	9	7	44	15	35
25	4	4	7	49	15	45
30	3	59	7	54	15	55

ROZMAITOŚCI.

Wydział Rady powiatowej w Rudkach, przesłał następujące pismo do delegacji sejmu Lwowskiego, na ręce p. Grocholskiego.

Wielmożny Panie! Chciej z kołem Delegacyi, któréj tak zaszczytnie w czasie ostatnich posiedzeń Rady Państwa przewodniczyłeś, przyjąć wyraz uczuć czci i uznania, jakie przejęły Wydział powiatowy Rudeński na wieść o gremialnem Jéj opuszczeniu przez naszych posłów.

Jeżeli sam czyn wystąpienia z Rady Państwa dawno pożądany, teraz koniecznością nakazany, już to szorstkiem odrzuceniem skromnych życzeń kraju już wnioskiem ministerialnym o przymusowych wyborach do Rady Państwa, niszczącym samą nadzieję lepszej przyszłości, na wdzięczność kraju zasługuje, o ileż więcej doniosłość, i następstwa jego: on to bądź co bądź unieważnia zgubną uchwałę Sejmu z 2go Marca 1867 spowodowaną zwątpieniem zacnych, ale niedolą kraju skołatanych umysłów, on potępia system bezwzględnéj uległości rządzącym, w celach złudnych korzyści, on to użyty w chwili stósownéj zjednoczył myśli całéj Delegacyi, dowodząc w obec

ludów i rządów, że gdzie idzie o cześć, i dobro narodu, tam niema między nami rozbratu, tam wszyscy łączymy w jeden zastęp nasze dłonie i serca; krokiem tym nakoniec przywróciłeś zacny Mężu wraz z gronem Towarzyszów Twoich naszéj Reprezentacyi to stanowisko, jakiego opuszczać nigdy niepowinna pod grozą ubliżenia godności i prawom narodu, tej jedynej dzisiaj, ale silnej, zmienną koleją stuletnich walk niestępionej broni.

Wydział powiatowy daleki od złudzeń, nieupatruje w czynie opuszczenia Rady Państwa przez naszą Delegację bezpośrednich zaraz korzyści dla kraju; być nawet może, iż nowy ucisk znów nad nim zaciąży, ale chlubniéj dla nas znosić dalszą niesprawiedliwość rządów, jak cieszyć się marnemi okruchami łask ministerialnych, z ujmą naszego wśród ludów stanowiska, i téj świetnéj przeszłości, któréj odblask dotąd łagodzi naszą srogą dolę, i dotąd żywi w nas wiarę w równie wielką przyszłość.

Rudki dnia 25go Kwietnia 1870.

— **Nieszczęśliwy wypadek.** W Twierdzy, w powiecie Mościckim udusiła dnia 22 Kwietnia w nocy; pewna kobieta przypadkowo swe jedyne, sześciotygodniowe dziecię.

Wypadek ten, powinien być nauką dla matek i mamek, aby niesypiały z dziećmi, a jeżeli potrzeba dziecku dać piersi — żeby niedawały leżąco, bo łatwo zasnąć mogą przy karmieniu, a zasnąwszy mogą dziecko strącić z łóżka lub je udusić. — Matka lub mamka, powinna wstać do dziecka, nakarmić je, a przy karmieniu siedzieć — pokarmiwszy położyć dziecko w kołyskę — a dopiero potem sama położyć się może.

Zwyczaj ten spania z dziećmi, podkładania dziecka pod piersi, bardzo jest rozpowszechnionym między wiejską ludnością. Należałoby pozbyć się tego zwyczaju, a to z dwóch przyczyn. Raz jak powiedzieliśmy dziecko łatwo udusić się może lub może spaść i zabić się. Powtóre dziecko oddycha zepsutem powietrzem, bo wyziewami z ciała matki lub mamki — a wyziewy starego człowieka, są najzgubniejszą trucizną dla dziecka. — Kobiety wiejskie obstają zapamiętałe przy tym zwyczaju, obstają przez lenistwo. Wstać się niechce kobiecie do dziecka, leniwa — woli dziecko trzymać przy sobie i narażać je na śmierć, chorobę lub kalectwo. Ciężka odpowiedzialność przed Bogiem za takie lenistwo dla własnego, lub powierzonego w opiekę dziecka. Bojaźń kary Bożej i ciężkich wyrzutów sumienia, niech skłoni matki i mamki, do pozbycia się tego złego zwyczaju.

Stare sześciokrajcarówki srebrne, tak zwane szóstki — mające wartość 10 centów, pozostaną w obiegu do końca Lipca. Do tego czasu, pieniądze te przyjmowane będą we wszystkich kasach publicznych. Po upływie tego czasu, wychodzą z obiegu i nigdzie przyjmowane nie będą. Trzeba więc zawczasu wydać lub zmienić takowe.

Dowody oświaty prawdziwej, daje nam gmina Brzegi, w powiecie Wielickim, niedaleko Krakowa. Gmina ta sama z siebie, bez wdania się w to rady powiatowej — zaprowadziła u siebie bardzo zbawienne przepisy, a między innemi: 1) Niewolno dzieciom niżej lat 14. uczęszczać do karczmy pod rygorem kary pieniężnéj w ilości 50 c. którą rodzice opłacać muszą. 2) Niewolno grywać w karty. Grający opłaca 50 c. kary, a gospodarz, w którego domu gra się odbywa — płaci 2 reńskie kary. 3) W dnie świąteczne niewolno zarobkować pod rygorem kary 50 c. zaś za najmowanie się do jazdy z żydami, płaci się 2 reńskie kary. 4) Wracając od chrztu, niewolno z dziecięciem wstępować do karczmy Rodzice dziecięcia i każda osoba towarzysząca, płaci w razie przekroczenia zakazu, po 1 reńskim kary, babka 50 centów.

Wszystkie te kary spływają do kasy gminnej, i rzeczywiście uzbierało się już tym sposobem 59. reńskich, które stanowią kapitał pożyczkowy dla członków gminy na 6 procent.

W Brzegach jest szkółka ludowa, urządzona za staraniem wójta Franciszka Habiny i znanego w kraju całym gorliwego o oświatę włościanina Macieja Szarka. Przy szkółce jest czytelnia, która liczy przeszło 400 najlepszych książek. Książki te pozyskał staraniem swojem Maciej Szarek od wielu uczonych ludzi i księgarzy.

Jakiż to godny naśladowania przykład! Ile tu dbałości o Religję, o moralność, o oświatę! Zakaz najmowania się do jazdy z żydami w dnie świąteczne, powinien być wszędzie — w całym kraju zaprowadzonym. Żyd pilnuje szabasu swego, żyd w szabas chrześcianowi nic nie zrobi, żyd zachowywaniem i szanowaniem swoich świąt, zawstydza nas bardzo. Lud w święto spieszy do karczmy, upija się i obraża Pana Boga. Żyd modli się w szabas, a jedynie na spacer się przejdzie dla przyjemności. Czyż to nie hańba dla nas katolików, że nie tylko sami przed sobą niewstydzimy się gwałcić dnie świąteczne, ale jeszcze dla lichego zarobku posługujemy żydom w dnie, dla Boga przeznaczone!!

Oby wszystkie gminy, szły za przykładem Brzegów, a lepsze nastałyby czasy. Niestrwoniło by się mienia, niebyłoby nędzy — niebyłoby obrazy Boga, a Bóg błogosławiłby uczciwości i pracy!

— **Stowarzyszenie katolickie** pod imieniem Śgo Stanisława Kostki, zawiązuje się we Lwowie. Celem tego towarzystwa będzie utrzymanie czystości wiary, w obec szerzącego się niedowiarstwa.

— **Zasiewy ozimowe**, mimo silnych mrozów, nie zostały uszkodzone. Ze wszystkich stron kraju piszą o tem. Natomiast ucierpiały wiele drzewa owocowe, a szczególniéj grusze i orzechy włoskie.

— **Dowcipny pewien gospodarz** około Krakowa, wpadł na dobry pomysł chronienia się od złodziei. Pod wieczór wiesza na drzewach różne kawałki mięsa, które na jedzenie się nie zda. Psy z całéj wsi, zwietrzywszy mięso, zbiegają się około żeru i szczekają ciągle, drapiąc się do mięsa i wydzierając je sobie. Szczekanie to — odstrasza złodziei.

— **Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.** W kraju włoskim, w okolicy Viterbo, wydarzył się wypadek, który dobitnie stwierdza to przysłowie.

Gazeta „**Unia**“ tak opisuje to zdarzenie.

Pewien kupiec wołów przybył wieczorem do oberży będącéj w oddaleniu od miasta — w pustem polu. Kupiec był w bardzo dobrym humorze i chwalił się przed oberżystą, że na sprzedaży wołów zyskał pięć tysięcy franków to jest na nasze pieniądze półtrzecia tysiąca reńskich. Po wieczerzy wyjechał, lecz zaledwie się oddalił — napadło na niego trzech ludzi i jedynie odwadze swojéj zawdzięcza ocalenie życia i pieniędzy. Wyrwawszy się z rąk napastników, wraca do oberży i opowiedziawszy gospodarzowi co się stało — oświadcza, że bojąc się nowego napadu, chce w oberży zanocować i dopiero na drugi dzień rano w dalszą drogę udać się, zamyśla. Przygotowano mu pokój, a znużony kupiec wkrótce twardo zasnął. Przebudziwszy się w nocy, słyszy jakieś głosy pod oknami. „Wykopcie tu rów głęboki — mówił głos jeden — ja go wyrzucę przez okno, a wy natychmiast zakopiecie.“ — Kupiec pojął od

razu, że to była zmowa na jego życie. Ubrał się więc, a wziąwszy w rękę rydel, który stał w kącie izby, oczekiwał na swoich morderców. W krótce usłyszał kroki pod drzwiami, drzwi się otwarły i przez nie wyjrzała głowa oberżysty. Kupiec nie namyślając się wcale, z całéj siły uderzył rydlem w głowę oberżysty, a ten padł bez ducha na podłogę. Natenczas kupiec podniósł trupa i wyrzucił go przez okno, pod którem ujrzał trzech ludzi stojących nad świeżo wykopanym rowem. Wyrzuciwszy trupa, pospieszył natychmiast zawiadomić o wszystkiem urząd policyjny. Policja przybyła na miejsce i zastała jeszcze trzech synów oberżysty, zajętych sypaniem mogiły swemu własnemu ojcu.

Wymysł o powstańcach. Pewnemu moskiewskiemu oficerowi przyszła w tych dniach ochota polować i to w najwygodniejszy sposób, bo bez pozwolenia właściciela w cudzym lesie we wsi Mianowicach pod Miechowem. Leśniczy tamtejszy dowiedziawszy się o tem, urządził obławę na myśliwca ze swymi ludźmi. Schwytany oficer nie chciał uznawać prawa przysługującego właścicielowi, a mianowicie zapłacić 25 rubli za dwie ubite sarny, w skutek czego leśniczy zabrał mu w zastaw strzelbę i zegarek. Rozgniewany oficer postanowił skorzystać z tego wydarzenia i zatelegrafował do pułkownika ni mniéj ni więcéj tylko tę wiadomość, że został w lesie przez powsańców napadnięty i zrabowany. Sprawa wytoczyła się przed pułkownika, nazwiskiem Oreł, wzięła jednak obrót niespodziewany dla owego oficera, bo podobno według obiegających pogłosek, został skazany na jakiś czas odbywać swoje łowy w zimniejszych sferach, gdzie pod dostatkiem znajdzie niedźwiedzi (w Sibirze.)

Bilion. Łatwo to wymówić lub napisać cyframi choćby i największą liczbę, ale nie łatwo pojąć odrazu umysłem jéj wielkość, a jeszcze trudniéj przeliczyć ją ustnie, zaczynając od jednostki. Otóż powiedział ktoś, że do budowli pewnego mostu, wypotrzebowano b i l i o n kamieni. Bilion, jest to milion milionów, a milion jest to tysiąc tysięcy. — Jakiś ciekawy, słysząc to, a chcąc sobie zrobić wyobrażenie biliona, zaczął rachować od jednego. Rachuje i rachuje z wielkim pośpiechem sądząc, że przecież od obiadu do podwieczorku, a najpóźniéj do wieczerzy, dociągnie do owego biliona. Znużony przestał liczyć i przekonał się, że przy wielkim pośpiechu, nie policzył więcéj jak 6 tysięcy na godzinę. A kiedy na godzinę tyle naliczył, to na cały dzień naliczyłby 24 razy po 6 tysięcy, czyli 144 tysiące, a na cały rok 365 razy więcéj, boć 365 dni w roku. —

Jednem słowem pokazało się, że gdyby od stworzenia świata pierwszy człowiek Adam, zacząłby liczyć, niebyłby téj liczby dotąd skończył, bo aby zliczyć bilion, potrzebowałby 19 tysięcy i 24 lat, 64 dni i kilka godzin, gdyby przez ten cały czas ani był spał, ani jadł ani pił. Gdyby zaś, jak to inaczéj być nie może, obrócił był 12 godzin dziennie na spanie, jedzenie i picie, toby naturalnie potrzebował dwa razy więcéj czasu, to jest 38 tysięcy lat i 136 dni, do policzenia jednego biliona. —

Mądre zdania. Dobrze czyniąc innym, sam sobie łaskę wyświadczasz. Milsze jest uczucie dla serca, gdy daje — niżeli gdy bierze. —

Bogactwa wzrok ślepią, a oślepnąć największe nieszczęście. —

Nieostrożność bywa często przyczyną śmierci. Wojciech Piecuch, włościanin z Pietrzejowej w powiecie Ropczyckim, powracając do domu — zasnął na szynach kolei żelaznej. Pociąg towarowy przejechał go w nocy i zgruchotał mu nogę. Rana jest bardzo niebezpieczna i niema nadziei wyzdrowienia.

Wyrzuty sumienia. W Potoczyskach pod Horodenką znikł nagle przed 9 laty zamożny gospodarz Jakób Jelenczak bez śladu, i mówiono, że w Dniestrze utonął. Realność jego przeszła na jego zięcia Michała Kuryłowego. W tych dniach zgłosił się do urzędu gromadzkiego Daniel Kuryłowy, brat Michała, i przyznał się, że jego brat przed 9 laty skradł i przepił sukno Jelenczaka, i w wynikłéj ztąd kłótni razem z nim teścia zabił, po czem go obaj zakopali w stodole. Ponieważ kościotrup rzeczywiście został w stodole znaleziony, aresztowano Daniela. Michał Kuryłowy jednakże znikł bez śladu.

Przegląd polityczny.

Wiedeń. W dniu 17. Kwietnia — więc w pierwsze święto wielkanocne popołudniu pochowano we Wiedniu zwłoki zmarłego, starego Marszałka Polnego Hess, jednego z ostatnich sławnych wodzów i zwycięzców austryackich, jako też towarzysza i przyjaciela zmarłego już dawniéj w skutek spadnięcia z konia w 90 roku życia, sławnego Marszałka Polnego Radeckiego. Orszak pogrzebowy składał się prócz wielu tysięcy ludzi cywilnych z 10 pułków piechoty, z dwóch pułków jazdy, całej artylerji wiedeńskiéj ze swojemi działami i z innych oddziałów wojsk austryackich. W Archikatedrze świętego Szczepana oddali zwłokom ostatnią cześć Cesarz i Arcyksiążęta austryaccy.

Na pamiątkę przyjęcia po raz pierwszy komunii św. dostał młody Następca tronu, Arcyksiążę Rudolf, prześliczne od członków familii cesarskiéj podarunki religijne, n. p. od ojca swego, Cesarza, wspaniały krzyż bardzo sztucznéj i pięknéj roboty z kości słoniowéj, od babusi swéj, matki ojca, Arcyksiężnéj Zofii zaś śliczny obraz olejny, przedstawiający wzruszające zdarzenie z życia Rudolfa I., hrabiego Habsburg, Cesarza niemieckiego (panował 1273 do 1291 r.,) prapradziada Cesarzy austryackich. Oto ów Rudolf, będąc jeszcze hrabią i mieszkając na zamku swym Habsburg w Szwajcaryi, spotkał na polowaniu kapłana zakonnego, idącego właśnie z Hostją Przenajśw. przez lasy i góry do chorego. Zdjąwszy buty, zamyślał kapłan przebrnąć przez wodę rzeki w skutek deszczu bardzo wezbranéj. Hrabia Rudolf nie pozwalając na to, dał kapłanowi konia swego do dalszéj podróży, którego potem podarował klasztorowi, w którym był ów kapłan, mówiąc, że nie godzi się dla niego (hrabiego,) jeździć na zwierzęciu, które nosiło Stworzyciela jego (w Hostji św.) Czyn ten szlachetny należał podobno też do przyczyn, które późniéj nakłoniły książąt niemieckich do obrania go Cesarzem, na co pobożny i dzielny hrabia też z każdego względu zasłużył.

Wzbudowało zresztą wszystkich przy wyżéj wspomnionéj uroczystości w kościele przytomnych, że razem z młodym Arcyksięciem i Następcą tronu przyjęli też Komunją św. rodzice jego, tj. Cesarz i Cesarzowa, rodzice Cesarza i młoda Arcyksiężna Gizela, siostra Następcy tronu. Tenże w skutek czułéprzemowy, którą do niego miał jego nauczyciel religii, ks. kanonik Meyer, mocno rozczulony i wzruszony, łez wylewał nie mało. —

Zdaje się, że hrabiemu Potockiemu powiedzie się przeprowadzenie ugody z Czechami. Wspominaliśmy w poprzednim numerze o staraniach hr. Potockiego w celu przeprowadzenia tej ugody. Minister hr. Potocki słusznie postąpił, że najprzód rozpoczął rokowania z Czechami; bo ugoda czeska, jest dziś najważniejszą dla Austrji, ona jedynie ułatwi ugodę z Polakami, Słoweńcami i t. d. Teraz ma hr. Potocki zamiar rozpocząć rokowania z Polakami, i w tym celu mają przybyć do Wiednia p. p. Smolka, Grocholski, hr. Gołuchowski (ten co był namiestnikiem cesarskim we Lwowie,) książę Sapieha, adwokat Zyblikiewicz, Krzeczunowicz, Ziemiałkowski, Ławrowski. Tymczasem przewódzcy czescy naradzać się będą ze swemi stronnictwami, a w połowie Maja, hr. Potocki ma się osobiście udać do Pragi, w celu zakończenia ugody. —

Kraje polskie pod rządem moskiewskim. Nowe prześladowania religii naszéj, zaczynają Moskale w Wilnie, stołecznem mieście Litwy.

Moskale zabrawszy nam ojczyznę, odbierają gwałtem świętą wiarę Ojców naszych. — Biskupom niewolno było pojechać na Sobór do Rzymu, niewolno Im odbierać rozkazów od Ojca Sgo zastępcy Chrystusa Pana na ziemi. Niewolno postępować według przepisów kościoła katolickiego, tylko duchowieństwo słuchać musi wyroków z Petersburga, zkąd car i ministrowie rozkazują w rzeczach wiary Śtéj.

Otóż, ażeby powoli zatrzeć różnicę między religją katolicką, a religją moskiewską syzmatycką, wydał car rozporządzenie, ażeby wprowadzić język moskiewski do obrządków kościelnych. To znaczy, ze księża muszą odprawiać Mszę Śtą nie po łacinie, ale po moskiewsku.

Duchowieństwo katolickie, pamiętne Świętych Męczenników, co w obronie wiary śmierć ponosili, oparło się temu. Jednak jest w Wilnie odstępca ks. Żyliński, którego moskale zrobili zastępcą Biskupa w Wilnie — a ten ks. Żyliński stał się sługą moskiewskim. — Znalazł się znowu drugi ksiądz, który otwarcie stanął w obronie wiary Śtéj, a ten ksiądz zwie się ks. Pietrowicz.

Gazeta „Kraj“ — tak opisuje postępek księdza Pietrowicza:

Dzień zwiastowania Najśw. Maryi Panny pozostanie dla Wilna i katolików pamiętnym, głęboko albowiem nas rozrzewnił i przekonał, że dużo jest kapłanów, który wszystko dla wiary ojców poświęcić gotowi. Ksiądz Żyliński, przed rokiem wikary, a obecnie administrator dyecezyi Wileńskiéj, wezwał miejscowego dziekana, ks. Stanisława Pietrowicza i polecił mu odczytanie ukazu cesarskiego, wprowadzającego do obrządku rzymsko-katolickiego język moskiewski, przyczem doręczył mu 143 egzemplarzy tłomaczonych rytuałów kościelnych na moskiewski język, dla rozdania duchowieństwu.

W tłomaczeniu tem ukazu powiedzianem było, iż lud dotąd przez księży był oszukiwany, że księża nazywali lud rzymsko-katolickim, gdy tymczasem on jest petersburgsko-katolickim i zależy tylko od synodu tamtejszego.

Przy odbieraniu tych papierów, ks. Stanisław Pietrowicz zaklinał na wszystko ks. Żylińskiego, aby daléj nie brnął w grzechy, tembardziej, że tłómaczenie rytuałów jest fałszywe i z dodatkami, aby raczéj był prawdziwym kapłanem, a gdy to wszystko nieniepomogło, przyrzekł ukaz ogłosić.

Po wyjściu ks. Żylińskiego ks. Pietrowicz wezwał swych przyjaciół i opowiedział rozmowę z ks. Żylińskim i prosił ich, aby z ambon lud zaprosili na odpust w dzień Zwiastowania do kościoła św. Rafała.

W sam ten dzień ks. Stanisław Pietrowicz wyspowiadał się i odprawił mszę św. przy ołtarzu Matki Boskiéj Ostrobramskiéj, na któréj dużo ludu już się znajdowało.

Następnie pojechał do kościoła św. Rafała. Na dzień odpustowy Zwiastowania Maryi Panny przybyło mnóstwo włościan, nawet z dalszych okolic Wilna: wszedł na ambonę i mniéj więcéj temi słowy przemówił:

„Bracia! szczęśliwy jestem, iż tak licznie zebraliście się, gdy jako kapłan mam obowiązek, ostrzedz was o grożącem niebezpieczeństwie. Mam polecenie odczytania wam ukazu wprowadzającego do kościoła katolickiego język moskiewski, przytem odebrałem od ks. Żylińskiego 143 egzemplarzy tłomaczonych rytuałów i ukazów z wyjaśnieniami, z tych 142 spaliłem w domu, zachowałem jeden tylko egzemplarz dla przekonania was o prawdzie słów moich, ten tu oto w oczach waszych palę.

„Niebezpieczeństwo względem zmuszenia was do przejścia na szyzmę jest wielkie, albowiem naczelnicy dyecezyi, jak n. p. ks. Żyliński administrator, oraz księża kanonicy Niemeksza, Tupalski, Gerburt, to jest, ci wszyscy, którzy jeździli do Petersburga, już są prawosławni i zdradzili kościół, którego byli kapłanami; nie wierzcie im, bo to są zaprzedane łotry, których wam z obowiązku mego wymieniłem, abyście się ich strzegli.“

Następnie zachęcając do wytrwania w wierze, zakończył: „A zatem padnijcie na kolana i przysięgnijcie że zginiecie dla wiary, tak, jak ja ginę, który po raz ostatni do was przemawiam. Za ten czyn rządu moskiewskiego klątwa Ojca św. nadejść powinna, nim to nastąpi, ja ją w imieniu tegoż rzucam. Idę ze spokojem do domu, oczekując swego losu.“

Ks. Stanisław Pietrowicz miał urzędowy raport do moskiewskiego naczelnika Potapowa, który po kazaniu natychmiast przesłał. W raporcie tym było wyrażono, iż tak podłych ukazów głosić nie będzie i że do tego nikt go nie zmusi; że wytłomaczył na kazaniu ludowi prawdę, jak był powinien, w końcu, iż czeka swego aresztowania.

Po ukończeniu kazania ks. Piotrowicz udał się do domu, a z nim cały lud obecny w kościele i na cmentarzach, okazując mu najwyższe oznaki sympatyi; nim jednak przybył do mieszkania, już został przytrzymany przez żandarmów.

Gdy jednak lud żandarmów odpędzał, zrobił się alarm, na który przybył batalion piechoty i sotnia kozaków. Wojsko uderzyło na lud kolbami i pałaszami. Walka uliczna trwała jakiś czas; obliczają, iż do 60 osób zostało pokaleczonych. Przemoc wzięła wkrótce górę i lud ustąpił. Włościanie na księdzu Piotrowiczu podarli ubior, biorąc kawałki, jako pamiątkę, któréj i za pół imperyału (20 Złr.) odstępować nie chcieli.

Po tem wypadku jenerał Potapow natychmiast kazał telegrafować do Petersburga, iż złożył sąd wojenny, który skazał ks. Stanisława Piotrowicza na rozstrzelanie; wkrótce wyprawiono drugi telegram, że ks. Piotrowicz zostanie powieszony. Z Petersburga jednak odtelegrafowano gotowy już wyrok, mocą którezo ks. Piotrowicz skazany został na całe życie do Archangielska.

Wszyscy są tego przekonania, iż ks. Piotrowicz do Archangielska nie dojdzie, lecz w drodze otruty przez Moskali zginie.

W Genewie w Szwajcarji, wychodzi gazeta moskiewska „Kołokoł“ — czyli po polsku „Dzwon.“ Gazetę tę wydają sami Moskale, którym się sprzykrzyło zostawać pod batem swego cara i dla tego opuścili swój kraj, a zagranicą żyjąc opisują rządy swego cara.

Otóż ta gazeta „Kołokoł,“ umieściła wiadomość, jak to rząd moskiewski uwłaszczył włościan, czyli zniósł pańszczyznę i jak sobie z ludem postępuje. Wiadomość ta, bardzo jest ciekawa — dla tego podajemy ją dosłownie według tego, jak ją gazeta „Unia“ z „Kołokoła“ przetłomaczyła na polskie.

O 25 kilometrów (miara francuzka). Kilometr znaczy blisko ćwierć mili mniej więcej od miasteczka Lidy (w gubernii Wileńskiej) leży posiadłość księcia Wittgensteina, nazwiskiem Bielica. Przyzwyczajono się uważać wielką włość Bielicę za jednę z najbogatszych w kraju. Lecz w rzeczywistości zupełnie ona jest zniszczoną. Główną przyczynę upadku stanowi okoliczność, ze nowe stosunki włościan z ich panem dawniejszym, księciem Wittgensteinem, zmienione ukazem o uwłaszczeniu z d. 19 lutego 1861 r., dotąd zgoła nie zostały uporządkowane. Akt odkupu ziem przez włościan, trzy razy robiony na nowo i trzy razy posyłany i zatwierdzany w Petersburgu, ciągle dotąd był w zawieszeniu z rozkazu gubernatora jeneralnego, który pod pozorem, że na Litwie nie przywrócono dotąd porządku, zawsze w nim coś zmieniał, tak że włościanie nie wiedzą jeszcze, czy są wolni czy poddanemi księcia Wittgensteina. Korzystając z tego zamieszania miejscowa biorukracya, policya okręgowa nie przestaje obdzierać bez litości biednych włościan. Włościanie czekali i cierpieli długo w milczeniu. Wreszcie zniecierpliwiwszy się zupełnie, wystosowali mnogo próśb do Grodna, do Wilna i do Petersburga. Żadnej odpowiedzi. Wtedy postanowili wysłać dwóch delegowanych pieszo do Petersburga. Zebrali ostatnie grosze dla nich na podróż (około 1000 kilometrów odległości) w nadziei, że delegowani ci, znalazłszy przystęp do ministrów a w potrzebie i do cara, rozwiążą nareszcie kwestyę, czy włościanie w Bielicy są wolni czy nie.

Delegowani wyruszyli i nic już o nich więcej nie było słychać; prześladowanie zaś i zdzierstwa urzędników szły swoim trybem i wzmagały się codziennie. Tymczasem włościanie słyszą o bliskiej brance i umawiają się pomiędzy sobą, że nie dadzą żołnierzy carowi tak długo, dopóki nie uzyskają zatwierdzenia swej wolności.

W pierwszych dniach lutego przybył do Bielicy urzędnik. Kazał zgromadzić się włościanom i rzekł im:

„Wolność wasza rozpocznie się z dniem 19 lutego. W ten dzień będzie w Wilnie wielki obiad, dany przez cara. Wybierzcie z pomiędzy siebie dwóch, trzech starców takich, którzy mają najnowsze ubrania a największe i najdłuższe brody, i wyślijcie ich, aby wzięli udział w tym obiedzie. Lecz równocześnie włość się złoży i przyniesie mi po rublu od głowy.“

Włościanie zaczęli się naradzać. Byli tacy, którzy ten obiad carski, który włościanie mieli zapłacić, znajdowali szczególnym. Uchwalili wszakże, że nie ma co robić, tylko dać żądane pieniądze urzędnikowi, gdyż ten bez pieniędzy nie odejdzie.

Każdy dał co mógł a pieniądze wręczono p. urzędnikowi, który je schował do kieszeni a przed odjazdem sądził się obowiązanym do udzielenia delegowanym, wybranym przez włościan do udziału w carskim obiedzie, następujących przestróg:

„Podczas obiadu pamiętajcie tylko milczeć i słuchać wszystkiego, co wam powiedzą wysokie władze, i dziękować za wszystko, co wam powiedzą. Co do wolności waszej, to ta właśnie zawisła od władz tych, które ją urządzą jak tylko można będzie najlepiej, Jego Ekselencya jenerał-gubernator weźmie sam udział w tym obiedzie i sam was o wolności waszej objaśni. Lecz gdy was się zapyta: „Czyście zrozumieli, moi kochani włościanie?“ powinniście odpowiedzieć jednogłośnie: „rozumiemy i dziękujem.“

Delegowani więc udali się na ten carski obiad w towarzystwie kilku innych włościan, niecierpliwych dowiedzieć się wreszcie, co to jest ta wolność. Obiad odbył się rzeczywiście 19 lutego a jenerał-gubernator rzekł do wszystkich zgromadzonych delegowanych litewskich:

„Nie będziecie mieli żadnej innej wolności, jak tę, której teraz używacie. Co wam przyznaje prawo, to wam pozostanie, lecz nad to nic. Bądźcie posłuszni waszym przełożonym i żyjcie w bojaźni Bożej. Rozumiecie?

Włościanie, stosując się do odebranej lekcyi, odpowiedzieli: „Rozumiemy i dziękujemy!“ jakkolwiek w rzeczywistości zrozumieli tylko jednę rzecz: t. j. że sprawa ich bardzo źle stoi.

Po skończeniu obiadu carskiego niżcy urzędnicy mięszając się pomiędzy gruby włościan, pośpieszyli im oświadczyć, że teraz winni powrócić niezwłocznie do swych wiosek, a co do wolności, nie powinni mieć już żadnej wątpliwości i ufać nieograniczenie ojcowskiej troskliwości wysokich władz.

„Wszystko to bardzo dobrze, odpowiedzieli włościanie delegowani, tylko bądźcie pewni, że nie damy żołnierzy, dopóki nam wasze błachorodye nie udzielą całej wolności, jaką nam przyobiecano i której się domagamy.“

Odpowiedź ta gniewała mocno małych biurokratów i przez chwilę myśleli ją udzielić J. E. jenerał-gubernatorowi, lecz wstrzymał ich wzgląd, że nie należało zasmucać Jego Ekselencyi w dniu tak uroczystym, gdzie cała Rosya obchodzi rocznicę swego uwłaszczenia.

Delegowani powrócili do swych wiosek. „No cóż? Jakże tam? Jakąż łaskę przynosicie nam od cara?“ Takie zapytania spotkały ich wszędzie. Delegowani w odpowiedzi tak energicznych użyli klątw, że powtórzenie ich uważalibyśmy za nieprzyzwoite.

Świat włościański poruszył się. Poruszenie to było szczególnie nader żywe w obwodzie lidzkim. Na polach, na rynkach, w kościołach katolickich i prawosławnych rosyjskich o niczem innem nie było mowy, jak o tym obiedzie, danym przez cara a zapłaconym przez włościan:

„Otóż to jest ta wolność! Mamy dobrego cara!“ Temi słowy kończyła się każda rozmowa.

Gdy się to dzieje, delegowani z Bielic powrócili z Petersburga z wiadomością, że akt odkupu przez rząd zatwierdzony od dawna został wysłanym do Wilna. Nikt iony więc, tylko gubernator jeneralny zatrzymał go znowu.

Wzburzenie w Bielicy doszło do rozmiarów nadzwyczajnych. Już tylko panowało jednomyślne zdanie: ze „biurokracya chce widocznie przywrócić niewolę.“ — Starzy chłopi mówili: „Zdaje się że pomrzemy, nie ujrzawszy wolności!“ Młodzież nie posiadała się z gniewu: „Po cóż czekamy dłużej, cóżeśmy zyskali tak wielką cierpliwością?“

Wójci (urzędnicy obrani przez włościan i sami włościanie) chodzili od domu do domu, usiłując wszystkich uspokoić. — „Mówcie rozsądnie, bracia, lecz nie buntujcie się... Czy zapominacie, co się nie dawno stało w Grodnicy!“

Wymowa wójtów nigdzie nie wywarła skutków. Wzburzenie wzmagało się w oczach:

„Nie chcemy podnosić rokoszu, mówili włościanie. Chcemy prawo zachować, nic więcej... Oni wstrzymują naszą wolność, my wstrzymamy brankę.“ Lecz jak to zrobicie? „Nie zrobimy spisu nie można brać żołniezy. Zagrzebiemy w ziemi pieczęć włości. Nie mogą przecież użyć fałszywych pieczęci, boby ich za to wysłano na Sybir.“

Jak rzekli, tak zrobili. Pieczęcie oddano do schowania starcowi najwięcéj szanowanemu we wsi, zalecając mu dobrze je zagrzebać, aby ich nikt nie znalazł.

Nadjechał pośrednik (jest to nowy urząd utworzony skutkiem ukazu uwłaszczenia) a z nim sprawnik, naczelnik policyi w obwodzie: „Podnosicie bunt,“ rzekli do włościan.

„Wcale nie, odpowiedzieli im ostatni, trzymamy się prawa.“ „Dla czegoż nie dajecie rekrutów?“ „Damy rekrutów, gdy nam dadzą wolność.* „Ależ, osły, to są dwie zupełnie różne rzeczy: wasza wolność dotyczy waszego pana, a służba wojskowa jest dla cara.“

„Służba jest cara, my także jesteśmy poddanymi cara równie jak i wy sami, ztąd wynika, że jesteśmy wszyscy równi tak przed Bogiem jak przed prawem. Wiemy o tem bardzo dobrze.“

„Poważacie się więc sprzeciwiać się. Nie wiecie tedy, co się stało w Grodnicy?“ „Wiemy bardzo dobrze.“ „Otóż więc nie kończy się na tem, że wszyscy jak tu jesteście, dostaniecie baty, lecz zostaniecie rozstrzelani, tak jak było w Grodnicy!“ „Eh nie, włościanie w Grodnicy nie umieli sprawą pokierować, nie znali prawa, a my je znamy.“ „Damy my wam prawo! Gdzież są wasi popisowi? „Nie dostaniecie ich, dopóki my nie dostaniemy wolności.“

Sprawnik i pośrednik odpowiedzieli kilku grubiańskiemi obelgami i cofnęli się do biura, rozkazując wójtom i ławnikom, aby szli z nimi. Drzwi za sobą zamknęli. Gromady pozostały na dworze, wzburzenie i wrzawa wzmagały się z każdą sekundą: „Urzędnicy nie chcą uznać prawa!... Dla czego oni się zamknęli? Chcą prawo pogwałcić. Nie pozwolimy na to! Nie ścierpimy tego! Wracajcież, pocóżcie się zamknęli. Otwórzcie drzwi, albo my je sami wyłamiemy!“

Sprawnik i pośrednik wystraszeni pokazali się: „Nas jest dwóch tylko a was bardzo wielu, nie róbcie nam nic złego!“

„My nie potrzebujemy targnąć się na was! Mówcie rozsądnie, albo odejdźcie sobie precz. Ale my nie ścierpiemy, żebyście się w biurze zamykali!“

Taki był przebieg rzeczy aż do wieczora. Sprawnik posłał był sztafetę do gubernatora wileńskiego celem zawiadomienia go, że sie zanosi na bunt. Włościanie ze wsi okolicznych przyszli do Bielicy, aby się dowiedzieć, co się święci. Pośrednik wyczerpnął wszystkie kwiaty swej wymowy dla przekonania włościan. Prawił im o powinności, o uległości. Włościanie odpowiedzieli mu śmiechem. Wtedy użył groźby; wszakże zaprzestał bardzo prędko grozić, gdyż za pierwszą pogróżką, którą wypowiedział, spostrzegł, jak się czoła włościan pomarszczyły a wzrok przybrał wyraz złowrogi.

Włościanie wzięli wszystkie papiery z bióra i dali je do schowania kobietom. Zabrali również wszystkie kałamarze, wszystkie pióra i wszystkie sprzęty. I spalili w tryumfie cały zapas kii, znalezìony w biórze. Poczem zamknęli drzwi bióra i położyli na nich pieczęć gminy.

W ten sposób minęły dwa dni. Trzeciego dnia ku wieczorowi przybył włościanin ze wsi sąsiedniej z wiadomością, że niezliczona moc żołnierzy i żandarmów wysłaną została przeciwko nim z Lidy, i że prowadzą z sobą 500 wozów z kijami. Wiadomość ta przeraziła biednych ludzi.

„Ah, więc to tak! zawołał tłum.

„Powiedzieliśmy wam przecież, że tu będzie to samo, co w Grodnicy, mówili wójci. — „Ale gdzież tam,“ odpowiedzieli włościanie, „ci w Grodnicy nie znali prawa, a my je znamy!“

Inni mówili: „A więc bracia, będą nas batagowali, tyle pewna. Gdyby to tylko na coś się przydało!“ — Inni wreszcie, którzy widocznie ułożyli pomiędzy sobą jakiś plan, mówili: „Zobaczymy jeszcze kto będzie górą! Czegoż tu czegoć? wróćmy do domów i działajmy.“

Wszedłszy napowrót do swoich biednych chat włościanie w rzeczy saméj ułożyli plan działania. Przez noc panował w Bielicy nadzwyczajny ruch. Nikt nie spał, włościanie gotowali się na dzień jntrzejszy.

Nazajutrz nie widziano nikogo na ulicach Bielicy. Część kompanii piechoty wraz z oddziałem żandarmów przybyła do wsi.

Dobosze bębnią, psy wyją, gdyż we wsi nie ma żywej duszy.

— Gdzież są buntownicy? — zapytał pułkownik żandarmów, zwracając się do dzieci.

Dzieci się pokryły.

Pułkownik udaje się do domu, w którym mieści sie urząd gminny; znajduje go zamkniętym a drzwi zapieczętowane.

— Wyłamać drzwi!

Rozkaz wykonano natychmiast. Ale lokal próżny, ani stołu nawet, ani stołka.

— Zawołać starszego, sołtysów, ławników!

Starszy gminny przychodzi blady jak trup.

— Gdzież buntownicy?

Starszy pada na kolana, wołając: ja niewinny!

— Gdzież sołtysi, ławnicy? gdzież papiery urzędu gminnego?

— Nic nie wiem.

— No, to zwołaj zgromadzenie ogólne. Ale, żeby mi wszyscy się stawili, wielcy i mali.

Żołnierze obeszli w koło wieś, pukając do drzwi domów.

— Nie masz nikogo! — odpowiadano im.

Pułkownik żandarmów, chcąc koniecznie odnieść zwycięztwo nad buntownikami, coraz więcéj się zapałał.

W drzwiach kilku domów pokazali się wreszcie włościanie na pół zaspani i z miną taką, jak gdyby nic o niczem nie wiedzieli.

— Czego żądacie?

— Idźcie spiesznie do urzędu gminnego.

— A to po co?

— No, bo się buntujecie! My przybyliśmy, aby was przyprowadzić do porządku — odpowiedzieli żołnierze.

— A niechże was Bóg błogosławi! Cóż wam też przychodzi do głowy?

— No, zobaczymy, zobaczymy, bez ceregieli! Idźcie tylko do urzędu gminnego!

Potem prowadzą włościan gwałtem do urzędu gminnego. Potrzeba było dosyć dużo czasu, aby zgromadzić znaczniejszą liczbę.

— Ah! buntujecie się! wrzeszczał pułkownik.

— Ale gdzież tam.

— A dla czego nie przysyłacie rekrutów.

— My nic o tem nie wiemy. To sołtysi powinni o tem wiedzieć.

— A gdzież są sołtysi?

Zjawia się sołtys, wynurzając się z tłumu.

— Jeden jedyny tylko?

Wszyscy milczą.

— Gdzież są drudzy?

Żadnéj odpowiedzi.

— Prawdopodobnie uciekli, powiadają pisarki zatrudnione w urzędzie gminnym.

Pułkownik wielce zdziwiony spogląda na tłum. Starszy klęka znowu: ja nie winien, mówi do pułkownika.

— Gdzież są włościanie, na których przypada kolej branki?

Żadnéj odpowiedzi.

— Uciekli — odpowiada tłum.

— Ah! uciekli! No to bierzcie co dziesiątego. Tłum zaczyna uciekać. Otoczony żołnierzami zmuszony jest się zatrzymać. Żołnierze odłączyli 25 ludzi.

— Ja was na śmierć zbiję! — krzyczał pułkownik — Gdzież są sołtysi, gdzie ci co bunt wywołali, gdzie rekruci?

— Nic nie wiemy: — wołał tłum.

Pułkownik daje znak, poczem rozpoczyna się okropna egzekucja. Sędzia pokoju opowiada pułkownikowi, co zaszło i wskazuje włościan podejrzanych.

— Bijcie ich, bijcie na śmierć! — wrzeszczał pułkownik.

Żołnierzom zaczęła się przykrzyć okropna scena.

— Dosyć!... No łajdaki, powiedzcie szczerą prawdę!

— Gdzie są podżegacze?...

— Nic nie wiemy.

Zrobiono poszukiwanie, lecz nic nie znaleziono. Żołnierzom coraz więcej się przykrzyło; zaczęli przybierać minę niezadowolnioną. Byli głodni. Wyszedł rozkaz chodzenia od domu do domu i zabrania wszelkiej żywności, jaka tylko się znajdzie.

Cała wieś była w rozpaczy. W godzinę później powiedziano pułkownikowi, że nie masz nic we wsi, że mieszkańcy sami nie mają co jeść.

— Ukryli wszystko — zauważały pisarki z urzędu gminnego.

Scena batożenia powtarza się. Żołnierze zgłodniali coraz bardziej stają się niezadowolnieni.

Pułkownik posłał po żywność do sąsiedniego miasta. Tymczasem zaś mieli żołnierze rozproszyć się po okolicy i szukać sobie jadła na własną rękę. Wszędzie to samo, ani kawałka chleba.

Żydzi karczmarze i księża mieli się pozbyć zapasów przygotowanych na rok cały; to też przeklinali armię cesarską.

— Gore! gore! — usłyszano o północy. Urząd gminny się pali. Aresztują dużo ludzi.

Gdy ogień ugaszono, rozkazał pułkownik sprawdzić liczbę uwięzionych; połowy już nie było.

Batogowanie rozpoczyna się na nowo.

Nazajutrz w południe przywieziono chleba. Żołnierze więc dostali wreszcie jeść.

Depesza gubernatora prowincii rozporządziła najsurowsze środki przeciw buntownikom.

Batogowanie jeszcze raz się rozpoczyna.

Tego samego wieczora nadeszła wiadomość o zamordowaniu przez rabusiów księdza Orzechowicza, w okręgu Elwin. Rabusie z pomocą domowników wypróżnili dom księdza. Na miejscu zbrodni znaleziono czapkę. Starszy gminy oznajmił pułkownikowi, że czapka należy do młodego włościanina, świeżo zaciągniętego do wojska.

Przybywa jeszcze kilka kompanii piechty. Pułkownik odebrawszy wiadomość, że w kilku miejscach zaszły wypadki kradzieży i rabunku, wyruszył w pochód celem obejścia obwodu.

Słychać już strzały karabinowe, strzelają więc do włościan.

Otóż fakta. Obwód lidzki znajduje się w takiem położeniu, jak gdyby podniósł otwarty rokosz.

Między Austrją i państwem Moskiewskiem, istniała ugoda, mająca na celu wydawanie sobie nawzajem zbiegów wojskowych. Oto ugoda ta przestała już istnieć, bo sam rząd moskiewski ją wypowiedział. Tak więc z krajów pod moskiewskim rządem zostających, będą się mogli chronić popisowi, przed rekrutacją — w państwie Austryackiem. —

Rzym. Sobór obraduje nad nieomylnością Papieża. Książęta kościoła chcą ustanowić taki artykuł wiary, że Papież w sprawach Religji jest nieomylnym, jako pełnomocnik Chrystusa Pana. —

Dnia 17 czerwca, rozpoczyna się 25 rok panowania Papieża Piusa IX. Od czasu Św. Piotra, który zasiadał na stolicy apostolskiej, 25 lat, 2 miesiące i 7 dni, żaden jeszcze z Ojców Św. niepanował lat 25. W roku przyszłym 24 sierpnia, wypada właśnie czas panowania Papieża Piusa IX, któryby wyrównał długości panowania Piotra Św. —

Jeżeli Pius IX dożyje tego czasu, o co prośmy Boga, wtedy odbędzie się w Rzymie uroczystość, jakiej podobnej niewidziała jeszcze ta stolica.

Między innemi wydobytym zostanie tron świętego Piotra, przechowywany dotąd jako relikwie i Pius IX zasiędzie na nim, pierwszy z Papieży. —

Francja. We Francji krzyczą na gwałt. Nagadano i napisano tam tyle na cesarza i jego rodzinę, że gdyby się to w innym kraju stało, miałyby sądy na jakie dziesięć lat roboty.

Rzecz jest taka. 8. b. m. miało tam być z woli cesarza powszechne głosowanie zatwierdzające zmiany w konstytucji. Rządowi chodzi o jak największą ilość głosów za tem, przeciwnikom przeciwnie. Rząd robi co może, przciwnicy także. Piszą więc odezwy po gazetach i osobno, odbywają wielkie zgromadzenia, a na nich od zdrajców, złodziejów i zbójców szkalują cesarza. Jeden jegomość zażądał wprost od zgromadzenia, żeby człowieka, który się Napoleonem III i cesarzem mianuje, skazać jako największego zbrodniarza na całe życie do ciężkiego więzienia, to jest na galery, czyli przykuć go do wiosła na okręcie. Zgromadzenie przyjęło i wydało niby ten wyrok, który naturalnie nic nie znaczy. — Na tem nie dosyć, odkryto spisek i zaaresztowanie ludzi, którzy chcieli Napoleona zabić, wywołać rewolucję i przewrócić wszystko ile możności do góry nogami.

U ludzi tych znaleziono broń, proch, bomby nowego wynalazku, które taką silną napełnione są masą, że rzucone o ziemię pękają z ogromną siłą, jakiej proch nie posiada. To wszystko zamiast szkodzić, owszem cesarzowi pomogło, bo ktoby jeszcze był przeciw jego woli głosował, ten teraz uląkł się tego, co to przeciwnicy zamierzają i będzie za cesarzem. Dodać wypada, że są tacy, którzy mówią, że tę wiadomość o spisku i bombach sama policya z woli rządu wymyśliła, żeby napędzić cesarzowi głosów. To się przecież zdaje nieprawdziwem.

Ci Francuzi to naród mądry, ale bardzo płochy, lekkomyślny. Co chwila chce czego innego.

Poznań. W Poznaniu wychodzi bardzo poważne pismo pod tytułem: Tygodnik katolicki. Pismo to wydają uczeni bardzo księża, ażeby bronić spraw kościoła. W 10. numerze tego pisma, jest wielka pochwała dla „Włościanina.“ Oto pisze Tygodnik katolicki między innemi: „Format wielki, papier piękny, raz po raz obrazki. Artykuły bardzo dobre. Pismo to polecamy włościanom.“ — Dziękując „Tygodnikowi“ za te słowa, podajemy je Czytelnikom naszym, bo niewątpimy, że słowa „Tygodnika“ z jednej strony przyjemność sprawią Czytelnikom naszym, a z drugiej strony zachęcą innych — do prenumerowania naszego pisma. —

Książki pożyteczne do czytania poleca się:

Nauka o nawozach czyli podręcznik praktyczny dla gospodarzy wiejskich — z figurami w tekscie 85 cent.
Uprawa ziemniaków przez Guolicha 36 c.
Uprawa roślin pastewnych i ich użytkowanie na paszę, 2 tomy Złr. 3. 75 c.
Uprawa chmielu przez Gawareckiego Złr. 1 —
Pszczolarz polski czyli przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych i t. d. wyłożony przystępnie do pojęcia braci ludu, 2 tomy z rycinami Złr. 2 50 c.
Nauka gospodarstwa wiejskiego podług najnowszych zasad popularnym sposobem dla użytku gospodarzy przez Schlipfa Złr. 2.
Pamiętniki z pobytu na Syberyi R. Piotrowskiego, 3 tomy Złr. 3.
Sekretarz dla młodzieży czyli nauka pisania listów Złr. 1 25 c.
Jedwabnictwo polskie przez Jezierskiego — z rycinami 50 c.
Szkółka wiejska przez A. M. 85 c.

Książki te nabyć można wprost z księgarni W. Jaworskiego w Krakowie, lub za pośrednictwem Redakcji „Włościanina.“

CENY ZBOŻA W DĘBICY.

	Złr.	kr.
Pszenicy . . korzec	9	—
Żyta . . . . „ .	5	80
Jęczmienia . . „ .	5	20
Owsa . . . . „ .	3	70
Kukurudzy . . „ .	—	—
Hreczki . . . „ .	—	—
Koniczyny . . „ .	49	50
Rzepaku . . . „ .	14	—
Grochu. . . . „ .	5	20

OSTATNIE WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

Praga (stołeczne miasto w Czechach). — Przybył tu Dr. Smolka członek sejmu Lwowskiego, ażeby układać się z Czechami w celu zawarcia ugody. Przewódzcy czescy serdecznie przyjęli naszego rodaka Smolkę i dają posłuch jego mowom, które trafiają do przekonania. Przybył także nowy minister rolnictwa, baron Petrino i rozpocznie rokowania z Czechami. Spodziewają się tu w tych dniach hr. Potockiego, którego serdecznie przyjąć mają.

Rzym. Obrady nad nieomylnością Papieża, rozpoczęły się 14 maja. Posiedzenia odbywają się codziennie. Wielu Ojców Soboru żąda urlopu. Księża Biskupi z Galicji wracają do kraju.

Paryż. Odbyło się głosowanie powszechne co do przyjęcia lub odrzucenia zmian w konstytucji. Koło 9 milionów ludności z całej Francji brało udział w głosowaniu. Blisko 8 milionów głosowało *tak*, a mało co nad milion *nie*.

Zmiany więc przyjęte.

Włochy. W mieście Neapolu i okolicach, panują rozruchy rewolucyjne. Najwięcej zaburzenia, robią studenci, z których bardzo wielu aresztowano. Potworzyły się bandy rozbójników. Wysłano za niemi w pogoń wojsko. Bandy te rozproszyły się, ale tworzą się oddziały powstańców.

Kraków. Przypominacie sobie kochani Czytelnicy, jak to Szlązacy zaprosili w lecie zeszłego roku Krakowian na zjazd i zabawę do Sybicy.

Otóż w tym roku ze wszystkich stron Polski zjadą się różni ludzie do Krakowa, ażeby ugościć w tem starem mieście królewskiem braci Szlązaków. Przyjadą ludzie ode Lwowa, Tarnowa, Rzeszowa i innych miast z całego kraju się zbiorą. — Prócz tych zjadą z pod rządu pruskiego, od Poznania — Torunia, Gdańska, z Kaszubów.

Będzie ludu mnogo, toć dobrzeby było, żeby też włościanie nasi zjeehali się i zeszli do Krakowa, ażeby poznać włościan ze Szląska, z Poznańskiego, i z różnych stron Galicji.

Zjazd ten nastąpi w same Zielone Swięta, a mianowicie:

6 Czerwca zjeżdzają się wszyscy, 7 Czerwca rano o godzinie 10tej nabożeństwo w katedrze na Wawelu, po nabożeństwie nastąpi zwiedzanie grobów królewskich i skarbca kościelnego. — Potem o 1szej wspólny obiad w ogrodzie strzeleckim, poczem strzelanie do tarczy i inne zabawy.

Tego samego dnia, odbędzie się uroczyste przedstawienie w teatrze.

8 Czerwca, zwiedzanie pamiątek, kościołów i osobliwości Krakowa. O 5tej po południu wycieczka na kopiec Kościuszki, z kopca na Wolę, gdzie się odbędzie podwieczorek pożegnalny. Potem ognie sztuczne na błoniach i odprowadzenie Lwowian na dworzec kolejny. — Krakowianie wybrali komissję, która starać się będzie, aby wszyscy mieli mieszkania bezpłatne, a w razie, gdyby tych zabrakło ażeby w hotelach cen niepodwyższano.

W ten sam dzień wychodzi osobny pociąg do Wieliczki — kopalnie będą oświetlone.

Uwiadomienie.

Numer niniejszy opóźnił się cokolwiek z powodu, że 4. dzeworytów, nie można było w krótkim czasie wykończyć, a powtóre — że druk i składanie dwóch arkuszy dłuższego wymagały czasu. Przepraszamy za to opóźnienie, nie z naszej winy pochodzące.

Redakcja „Włościanina“

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Czesław Pieniążek.*

Właścicielka: Salomea Jordan.

W Drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.